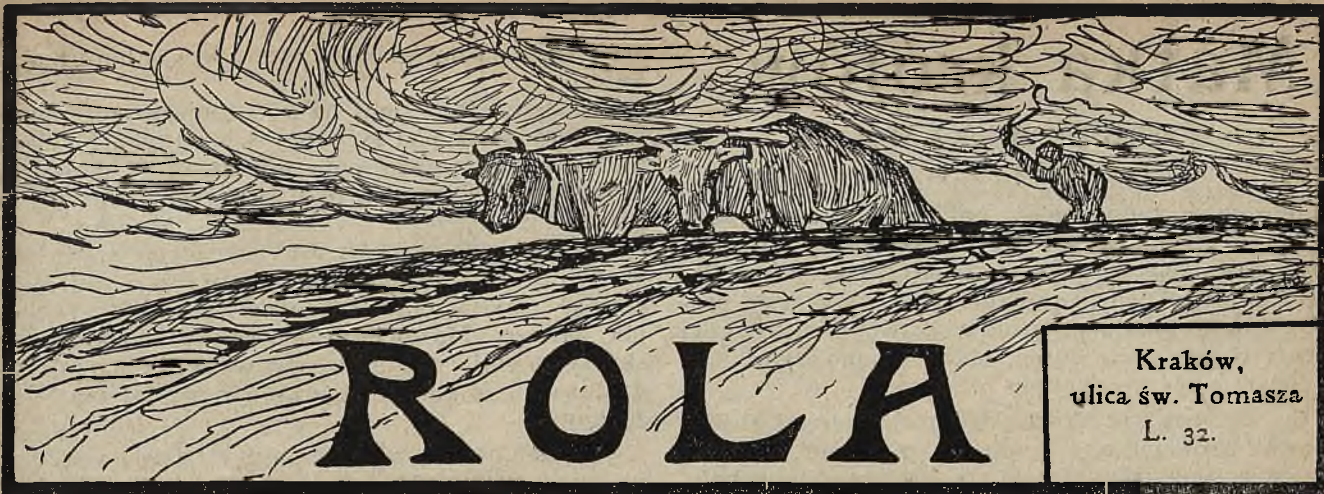
Numer 30. Rok X. Kraków, dnia 24 Lipca 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Świat po wojnie.

Po strasznej wojnie, jaka nawiedziła przed kilku laty Europę, świat się jeszcze nie ustatkował, nie wszedł jeszcze w normalny tryb życia, ale fermentuje i szuka nowych dróg, któremiby mógł kroczyć w przyszłości. Objawy tych fermentów widzimy niemal we wszystkich państwach europejskich, a nie brak ich i w innych częściach świata

Najcharakterystyczniejszym tego przykładem jest Rosja, kraj najciemniejszy w całej Europie. Po rewolucji w 1917 roku zapanował tam bolszewizm, który jednak swego istnienia ustalić nie może, bo jest on mrzonką, nigdy nieziszczalną. Pod pozorem zupełnej wolności i swobody zaledwie garstka opływa w dostatki, reszta znosi nędzę najostateczniejszą, o jakiej my nie mamy pojęcia. A i ci, którym się nieźle powodzi, którzy chwilowo opływają we wszystko, duszą się pod ogromem swej władzy i drżą o najbliższą przyszłość, gdyż wiedzą dobrze, że miecz Damoklesa wisi nad ich głowami, że wkrótce władza ich skończyć się musi, a oni powiększą liczbę tych, którzy dziś z ich rozkazu giną okrutną śmiercią. Naród cywilizowany dawno byłby ich zmiótł z powierzchni życia publicznego; w Rosji jeszcze czas jakiś mogą się utrzymać przy władzy.

W inną ostateczność wpadły naprzykład Włochy, ale tam znalazł się człowiek silny, który ująwszy niepodzielnie w swe ręce całą władzę, potrafi kierować całym narodem i prowadzić go do dobrobytu. Dopokąd żyje Mussolini, Włochy mogą być spokojne o swą przyszłość, ale gdy jego zabraknie i tam dojdzie do fermentów, jakie dziś przebiegają świat cały.

W Hiszpanji naśladuje go Primo de Rivera, choć z mniejszem powodzeniem. W Grecji co pewiem czas wypływa jakiś naśladowca Mussoliniego, na niedługą jednak chwilę, aby ustąpić miejsca swojemu następcy.

A w Polsce czyż jest inaczej? Życie nasze państwowe zaczęliśmy od swobód największych, jakie sobie można było wyobrazić. Marszałek Piłsudski, jako naczelnik państwa, sam człowiek z krwi i kości demokrata, dał Polsce najdemokratyczniejszą ordynację wyborczą, jaką sobie wyobrazić można, a do której myśmy grubo nie dorośli. Zrównywała ona niepiśmienną Kaśkę i Maryśkę z Psiej Wólki z najmądrzejszym profesorem uniwersytetu. A że w Polsce analfabetów i analfabetek są miljony, a ludzi naprawdę mądrych garść niewielka, to też życie państwowe musiało zaraz od początku chromać i chroma do dziś dnia. Wprawdzie Marszałek w maju zeszłego roku spostrzegł, że zbyt wybujały demokratyzm był błędem i postanowił go ukrócić, ale ukrócił tylko połowicznie. Ograniczył wprawdzie wszechwładzę niedołężnego sejmu, ale nie wprowadził na jej miejsce silnego rządu, któryby nie oglądając się na ten sejm, sam dobrze rządzić potrafił. Ferment w Polsce istnieje nadal, a jak się skończy, nikt przewidzieć nie potrafi. Dopóki żyje Marszałek Piłsudski i przyjaciele jego i wrogowie pokładają w nim nadzieję, że on do ostateczności nie dopuści. Ale gdyby go tak, broń Boże, zabrakło, to co wtedy?

Ostatnio taki ferment jaskrowie przejawił się w Wiedniu, stolicy maleńkiej Austrji. Piszemy o tem na innem miejscu. Cicha walka pomiędzy żywiołami radykalnymi i komunistycznymi a chrześcijańsko-narodowymi przerodziła się w otwartą rewoltę, która pociągnęła za sobą setki zabitych i rannych. Chwilowo wzięły górę żywioły umiarkowane, ale czy na długo, czy za jakiś czas znowu nie poleje się krew i trupy nie zaścielą kraju całego?

A czyż w innych państwach jest inaczej? Wprawdzie panuje tam pozorny spokój, ale wśród społeczeństw wre i kipi, a lada iskra może spowodować pożar, który krwią zaleje ziemię.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV w.

(Dokończenie).

Nazajutrz rano młody król miał w rynku krakowskim hołd wiernych swych przyjmować na majestacie siedząc, otoczony wszystkimi dostojnymi pany i posłami. Przez całą noc pracowano około przygotowania tronu, siedzeń dla dworu i wspaniałych stopni, które obijano szkarłatem. W ulicach nie było spokoju od rana...

Tymczasem pod okiem królowej szatny i służba odziewali królewicza, a Sonka ze łzami radości i dumy macierzyńskiej, patrzała na śliczne swe pacholę, w królewskim stroju uśmiechające się do niej. Mały Kazimierz ciekawie obiegał do koła brata, przyglądając mu się i radując po dziecinnemu.

Matka przycisnęła go do piersi. Niespokojna była, bo zapowiadał się upór, kto ma siąść po prawicy królewskiej Oleśnicki, czy książę mazowiecki Ziemowit.

— Czekaj — szepnęła mu po cichu — i ciebie czeka korona! i ty włożysz ją... ja to czuję i widzę!!

Na stole leżała przygotowana dla Władysława korona, którą na purpurową wdziać miał czapkę, gdyż była na głowę jego za wielką.

Królowa, której świeże doniesienie pokoju nie dawało, zbliżyła się do tryumfującego synaczka i całując go w czoło szepnęła.

— Patrz, abyś tak uczynił, jak mówię... słuchaj mnie i zrozumiej.

Władysław zwrócił oczy iskrzące się i ciekawe na matkę, dając znak głową, że spełni jej przykazanie.

— Gdy w rynku zsiądziesz z konia, aby zająć miejsce na tronie, uważaj to dobrze, jeśli książęta Mazowieccy spór rozpoczną z biskupami, kto ma siąść po prawicy twej...

Podniosła rękę do góry królowa.

— Koronę twoją winieneś biskupowi, byłbyś niewdzięczny, gdybyś przeciw niemu stanął, — ale Mazowieccy i tak ci są niechętni, a zniechęcać ich się nie godzi.

Władysław oczyma zdziwionemi zdawał się szukać, jakimby środkiem dwie potęgi przejednać...

— Raczej nie siadaj na tronie, niżbyś sobie pierwszego dnia, na pierwszym kroku, miał uczynić nieprzyjaciół. Stojąc, przyjm mieszczan, na majestat nie wstępując.

Władysław, usłyszawszy tę radę, rękę matki pochwycił i pocałował.

Uścisnęła go królowa.

— Idź, jedź czekają na ciebie już wszyscy!!

W powietrzu krzyżem go przeżegnała drżąca.

W rynku stały tłumy tak gęste, iż cały wydawał się usypany głowami ludzkiemi. Pełne były okna, okryte dachy... Dzień słoneczny oblewał złocistem światłem obraz ten różnobarwny, ożywiony i wesoły. Bo choć pośród tego mnogiego natłoku była gromadka niechętnych i zwyciężonych, z zawiścią w sercu patrzących na to, co się mimo nich stało, mniejszość ta ginęła wśród niezmiernie większej liczby narodu rozweselonego, szczęśliwego tem, że znowu miała swojego pana, swą głowę ukoronowaną, swego widomego wodza.

Zwolna, o ile możności przeciągając nadejście stanowczej chwili, jechał król ku rynkowi; tu jeszcze wprowadzono go do Panny Marji, gdzie duchowieństwo ze święconą wodą, krzyżem i pieśniami nań czekało.

U drzwi jego siadł na koń, zmierzając ku tronowi, który zdala pod ratuszem widać było. Powiewały nad nim chorągwie państwa, ziemi krakowskiej i miasta... U stóp widać było stojących z darami mieszczan...

Młody król na przemiany zwracając się to do biskupa, to do książąt, badał ich twarze i rad był odgadnąć usposobienia. Oleśnicki jechał tak spokojny jak zawsze, Mazowieccy z oczyma zaiskrzonemi i skrzywionemi twarzami... Zdawało się jednak Władysławowi, że bądź co bądź, spór musiał już być zażegnany.

Chciał bardzo zasiąść na tym tronie wśród rynku, w swej koronie i płaszczu, dając się widzieć tysiącom i z tej wyżyny usłyszeć okrzyk powitalny ludu... Dotąd tylko dostojne piersi panów i rycerstwa obwoływały imię jego, tu w rynku pierwszy raz miał uszu jego dojść głos tego mnóstwa... tej ćmy wielkiej, złożonej z maluczkich, biednych i podrosłych zaledwie, ludzi od pługa i rzemiosła... z chat i dworków!

W chwili, gdy koń się zatrzymał, a młody pan zsiadł z niego, książę Ziemowit, milczący dotąd, odezwał się głosem stanowczym.

— Prawica się nam należy...

Chwilę trwało milczenie. Oleśnicki rzekł powoli.

— Tylko arcybiskup może zasiąść przy królu po prawej, a ja dziś go tu zastępuję...

Mierzyli się oczyma. Młody król krótką chwilę stał, jakby oczekując rozstrzygnięcia, lecz napastnicy milczeli, jakby je zdali na niego.

W tej chwili Władysław pieszo kilka kroków podszedł do oczekujących nań mieszczan, z twarzą pogodną i wesołą, przemówił do nich kilka słów niedosłyszalnych, zwrócił się do konia, którego sobie podać kazał, i nie wstępując na tron, w dalszą po mieście puścił się drogę.

Milczenie oczekiwania trwało czas jakiś... Lud sądził, że ujrzy króla na wysokościach; gdy siadł na koń, na dany przez mieszczan znak, naprzód cichszy, potem stutysięczny zagrzmiał okrzyk.

— Niech żywie! niech żywie!

*

Królowa-męczennica.

Przy ulicy św. Anny, w kamienicy, która się stykała z jednem z kollegjów wskrzeszonej przez Jagiełłę Akademji, mieszkał naówczas sławny z nauki mistrz Henryk, Czechem zwany.

Schylony nad rachunkami swemi lub nad staremi rękopisami, mistrz Henryk wiedział zaledwie, że królestwo dostało nowego pana.

Szelest w korytarzu wiodącym do jego mieszkania rozbudził go. Przeżegnał się i powstał.

Drzwi się rozwarły i w towarzystwie duchownego, który ją zapowiedział, weszła krokiem powolnym zakwefjona cała, poważna, słusznego wzrostu niewiasta. Czarna zasłona z czoła spadała jej na twarz białą i bladą, wśród której ciemne, jeszcze pełne ognia świeciły oczy...

Mistrz Henryk nizko się skłonił przed nią, stając w pokornej postawie na rozkazy.

— Przychodzę was spytać o losy synów moich — odezwała się głosem mężnym przybyła. — Powinnam je znać, aby do nich moje i ich życie zastosować... Bóg dał wam naukę i dar proroczy...

Umilkła. Mistrz Henryk chwilę, jakby ducha skupiając, stał także milczący.

— Nauka ludzka — rzekł — niewiele waży, jeśli ją nie wesprze moc Boża, a światło z niebios niezawsze spływa, bo człowiek niezawsze go jest godnym.

Zatrzymał się, wzdychając ciężko...

— Pozwólcie mi spytać — odezwał się nieśmiało — Bóg dał wam synów trzech! Jednego wziął do siebie?

Niewiasta drgnęła zdziwiona.

— W istocie trzech miałam, dwu mi pozostało!

Mistrz Henryk śpiesznie sięgnął ręką drżącą po dwa zrzynki papieru, które był przygotował na stole.

Wpatrzył się w nie długo, jakby w nich czytał... Każdy ruch jego i wyraz twarzy niespokojnie śledziła oczekująca pani.

— Starszy — rzekł — dziecię szczęścia... dziecię wesela, złożony w srebrnej kolebce... bohater będzie... Dwie złote gwiazdy widzę nad jego głową, dwie, jak korony jasne koła... Księżyc przeciwko niemu... niechaj się strzeże księżyca...

Tu zamilkł...

Niewiasta słuchała, nie mówiąc nic, drżący rąbek zdradzał wielkie wzruszenie...

Mistrz Henryk jeden papier położył na stole i czytał w drugim długo.

— Drugi syn, dziecię łez i boleści...

Słaby okrzyk wyrwał się z piersi słuchającej, a starzec powoli, jakby nic nie słyszał, zatopiony w sobie mówił dalej.

— Dziecię łez i boleści — i nad niem korona świeci... Widzę drogę życia długą, ciężką, najeżoną ostrym cierniem, zawaloną głazami, ale u jej skraju znużony stoi zwycięzcą... Obok niego niewiasta, której nie chciał, a ukochał i rodzina... Wśród niej też gwiazdy pałają...

Tu głos mu słabnąć zaczął i papier wypuścił z rąk.

— Błogosławioną jesteś matką, — dodał — choć łzami i boleścią a trudem strasznym szczęście dzieci opłacisz... Męztwa ci potrzeba do końca, na długie jeszcze życie, a wszystko, co obiecane, widzieć będziesz oczyma własnemi.

To mówiąc krzyż uczynił w powietrzu... Głos mu się zmienił, jakby nagle otrzeźwiał i zstąpił z wyżyny.

— Nie widzę już nic — dodał. — Ufajcie Bogu, który wszelki trud, miłość i wytrwałość a ufność w siebie opłaca.

Słuchająca odetchnęła, jakby ciężar wielki spadł z jej piersi... Przejęta była i jeszcze drżąca...

Stojący za nią duchowny, worek, który przyniósł z sobą, zcicha położył na stole.

— Bóg niech wam płaci — odezwała się niewiasta. — Pokój daliście duszy mojej. Jeżeli kiedy zapotrzebujecie pomocy... wezwijcie jej u mnie. Wiecie kto jestem, bo wam nic zakrytem nie jest...

Schyliła głowę i ręką skinąwszy, we drzwiach znikła...

Duchowny, który pozostał w progu, zcicha, zwrócony do pochylonego Henryka, rzekł:

— Królowa!!

Stary uśmiechnął się smutnie, widywał ją na zamku zdala, a poznałby, nie wiedząc, kto jest, po majestacie oblicza.

— Królowa! — szepnął, kłaniając się raz jeszcze. — Tak, męczennica! I przyszłość nawet grobu jej nie poszanuje...!

KONIEC.

Sąd w niebie.

(Legenda.)

W niebie zanosiło się na burzę. Przed obliczem Najwyższego miała stanąć niewiasta, którą wielu umiłowało na ziemi, która dla wielu była promykiem w szarzyźnie ich żywota, która wielu swym słodkim uśmiechem słodziła znojne dni istnienia. A ona przechodziła koło nich mimo, jak ten motyl, który przelatuje koło kwiatków, muskając jedne z nich swem wiotkiem skrzydełkiem, na drugie nie zwracając nawet uwagi. Oko jej na trzech tylko zatrzymało się czas dłuższy. Pierwszy raz, kiedy była jeszcze niedoświadczonem dziewczęciem, drugi raz, kiedy była w całym rozkwicie swej młodości, trzeci zaś, gdy maj jej życia był już u schyłku i nadchodziły dni upalne wieku dojrzałego.

Trzy razy serce jej uderzyło goręcej i za każdym razem z innego powodu. Trzem dała szczęście, będąc sama całe życie nieszczęśliwa. A teraz ma stanąć przed obliczem Najwyższego, aby Ten rozsądził, któremu z tych trzech ma być przysądzona na wieki.

Stanęła wiotka i nieśmiała, a taka przecudna i miła, że aż aniołowie ze zdziwieniem patrzyli na jej zatroskaną twarzyczkę.

W imieniu owych trzech, którzy ją umiłowali, stanęło trzech aniołów: w imieniu pierwszego pierwszy anioł, w imieniu drugiego drugi, w imieniu trzeciego trzeci. A ona była sama, tak tu, jak i na ziemi, chociaż kochana przez wielu, a jednak sama i biedna.

Gdy sąd się rozpoczął, wystąpił pierwszy anioł i powiada:

— Panie mój! W imieniu tego, który ją w latach niemal dziecięcych przyhołubił i żoną swoją nazwał, proszę o przyznanie mu jej, jako jego własności.

A anioł drugi na to:

— Był ci on pierwszy, ale temsamem spijał najrozkoszniejsze słodycze z jej ust karminowych. Posiadał szczęście w całości i niepodzielnie. Żadna chmurka przeszłości nie zakryła lazurów jego miłości. Za swą miłość, miał wszystko, o czem jeno zamarzyć zapragnął. Dała mu całe i niepodzielne szczęście, a to winno być nagrodą dlań na całą wieczność. Ale ten, kto drugi dał jej swe serce, który musiał pamiętać o tem, że przed nim był ktoś, kto czerpał ze skarbnicy jej miłości, czyż teraz ma odejść bez nagrody za swe umiłowanie?

Przerwał mu anioł trzeci:

— Nie była niepodzielną jego miłość. Choć wiedział, że posiada pełnię jej uczucia, dzielił serce swe na kilkoro. Dawał jej tylko ochłap swej miłości, posiadając, krom wspomnień odległych, całą jej miłość. Wiedziała o tem, a mimo to dawała mu szczęście pełne. A on również, wiedząc to, posiadał tyle szczęścia, jakiego mu wielu pozazdrościć może. Za cząstkę dawanej jej miłości cząstką jej bytu ziemskiego zadowolić się powinien.

— Słusznie! — zawołał anioł pierwszy rozradowany, gdyż był pewny zwycięstwa.

Ale anioł trzeci ciągnął dalej:

— Inaczej jednak ten, w którego imieniu je przemawiam. Poznał ją w drugiej połowie najpiękniejszych dni jej życia. Poznał przeszłość jej i dawne jej umiłowania, usłyszał z ust jej niejedno zwierzenie, które bolesnymi zgłoskami wyrywało się na sercu jego, a wiele jeszcze boleśniejszych słów sam sobie dopowiedzieć musiał. A mimo to oddał jej całe i niepodzielne serce. Pokochał ją ponad wszystko, ponad świat cały, ponad szczęście własne. Poza nią nic i ni-

kogo nie widział. Była mu jasnym promykiem jego marzeń rozkosznych, ale była również zbiornikiem burz, które krwawiły serce jego niejednokrotnie.

— I mijały dni takie — ciągnął dalej anioł trzeci — szczęsne i rozpaczne na przemiany. Kotłowało się życie, niosąc w sobie upojne dni majowe, i ciemne noce listopada. Raz błysk rozradowania rozpromieniał jego myśli i szczęśliwość napełniała jego serce, to znów ciemna chmura zjawiała się na horyzoncie jego miłości. Zamilczę dalsze dzieje ich żywota, to jedno dodam, że nie zaprzestał kochać jej do dni swych ostatka. I pytam, czyż złączeni na ziemi dozgonnymi węzłami nierozerwalnych uczuć mają być dziś rozłączeni na wieki?

A święty Józef, Patron oblubieńców, który słuchał tych wywodów z zajęciem, ozwał się:

— Panie! Na ziemi jest zwyczaj i prawo takie, że kto ostatni stał się posiadaczem czegokolwiek, staje się to po wsze czasy jego własnością. Z wywodów powyższych wnoszę, że Ona temu trzeciemu winna być przyznaną.

— Niech się stanie, jakoś powiedział — rzekł Pan i sprawiedliwości stało się zadość.

WOJCIECH BYCZEK.

Walkowa dola.

(Ciąg dalszy).

Cisza,, cisza bez końca rozpostarła swe skrzydła nad głuchym cmentarzem; tylko wysmukłe świerki stojące nad grobami, szumiały poważnie, melancholijnie, a w dali grał cicho strumień śród skał... Świerszcze polne cykały ustawicznie śród traw mogilnych, wysrebrzonych blaskami księżyca... A Walek jęknął znowu:

Zgasło mi słońce, zgasły mi zorze,
Pierzchło kochanie — Boże, och Boże!...
Smutno mi dzisiaj na wielkim świecie:
Bom stracił cudne nadziei kwiecie!
Tu ma nadzieja śpi w tym kurhanie,
Ma jasna zorza — moje kochanie!...

Umilkł Walek, bo łzy serdeczne dławić go poczęły i z rękoma przed siebie wyciągniętemi, z rozwianemi włosami dopadł mogiły, naznaczonej czarnym dębowym krzyżem; padł, jak dąb zgruchotany piorunem na zimny grób swej ukochanej i w jakimś bolesnym uniesieniu, złamany, zrozpaczony wykrzyknął okrutnie:

— O Zochno moja, najmileńsza Zosienko! Tyś tu?... O Jezu, Jezu miłosierny!

I, przywarłszy rozełkanemi ustami do zimnej mogiły swej najdroższej, zdawało mu się, że te całunki serdeczne, gorące składa na zapłonionych skroniach Zochny...

— O aniele mój, jak mi cię żal... Zosieńko, ty moja złota... Więc znalazłem cię po długich łzach?...

Więc teraz będziemy żyć szczęśliwi, jakeśmy kiedyś wieczorami marzyli? O Zosieńko najdroższa!... Czy pamiętasz, Zochno pierwszą naszą czystą idealną miłość? Czy pamiętasz te piękne księżycowe noce, kiedyśmy upojeni miłością siadywali często na tem wzgórzu za moją chatą, nad brzegiem strumienia, co u stóp naszych płynął w dal? Słowiki szlochały w wiklinie nad rzeką — tak cudnie... las w dali szumiał... koniki polne grały... pachniał bez —tak słodko... Och, ta przyszłość! Czy pamiętasz, jak zdawała uśmiechać się do nas i wabić nas do siebie, do wymarzonego szczęścia — ku któremu mieliśmy iść prosto, po kwiatami wysłanej drodze, śród kwiecistych łąk, przez rozegrane ptaszęcymi chóry rozkoszne przestrzenie — gdzie czekać nas miało zadowolenie i radość życia bez cierni i chmur?... Czy pamiętasz — najmileńsza moja?...

Tak szeptał gorączkowo Walek w wielkiem zapamiętaniu i zachwycie, zlewając łzami zimną mogiłę... On widział w tej chwili swoją Zochnę, piękną, uśmiechniętą, stojącą tuż przy jego boku i płacącą mu serdecznymi pocałunkami... Widział ją jak przez sen wniebowzięty, błogi... Z ust jego sypały się różne pytania — lecz daremno... Nie otrzymał żadnej odpowiedzi...

Groby milczały niemiłosiernie... Drzewa stały cicho zadumane... Tylko księżyc zdawał się uśmiechać do Walka i na znak współczucia zalewał go swemi blaskami... A Walek leżał nieruchomo z ustami przywartemi do mogiły milczącej... A serce Walka biło tak gwałtownie, jakby chciało zbudzić z wiecznego snu szczyt swych marzeń, tęsknot i miłości; jakby ją chciało powołać do nowego życia i iść razem gdzieś w dal, w świat, choćby na odludną dziką pustynię — byle być dalej od zgiełku, krzyków, swarów i zawiści ludzkiej; byle żyć razem w wielkiej miłości upojeniu — w ciszy...

Walek śnił... Widział moją najmileńszą Zochnę powracającą z pola, z sierpem na ramieniu, całą złoconą blaskami wieczornej zorzy, uśmiechniętą, rozśpiewaną jak ptaszyna, życzliwą mu zawsze i kochającą... Widział jej pełne niebieskich żarów i dziewiczej słodyczy, radosne oczęta, jej gibką jak lilja kibić i czuł zapach jej włosów. Słyszy Walek jej słodki, wdzięczny głos, czuje jej serduszka bicie, tętniące miłością dla niego... I cieszy się zadowolony i uśmiecha, jak dziecko. Pewnie przypomniał sobie pierwsze wyznanie miłości, odkąd pokochał ją nad życie, nad wszystko w świecie. Ona była gwiazdą jego przyszłości, jego życiem pełnem tęcz i blasków. Ona miała być przyszłą towarzyszką jego życia, on poza nią nie widział nic — nie znał nikogo. Bo nie miał już na świecie nikogo kochanego. Swoich nie miał; obcych kochać nie mógł z nadmiaru boleści, która serce jego przeżarła na wylot, jak rdza żelazo, leżące długo w zapomnieniu. Kogoż miał kochać?

Ojca, matki ni brata nie miał; nie znał ich; był sierotą na świecie, sam jeden śród tylu, tylu nieprzychylnych mu ludzi, zawistnym patrzących okiem na kawałek jego świętej ziemi i chylącą się od starości chatkę, która pozostała mu w spuściźnie po rodzicach. Pokochał niedawno Zochnę; pokochał całą duszą — lecz, niestety! nielitościwa, okrutna śmierć wydarła mu ją tak prędko. Pozostał na świecie sam, ze łzami i bólem w sercu. Przed sobą nie widział nic — jeno chmury...

Czuł się opuszczony; czuł w piersi swojej serce skołatane i zranione najsroższym ciosem, a nad sobą czuł Boga, od którego jedynie mógł spodziewać się pociechy.

Długo w noc śnił Walek przedziwne sny...

Za cały smutny długi dzień doznał Walek choć tyle pociechy i radości, co mu dały te sny upragnione, niosące go w krainę zapomnienia i wesela, gdzie sam na sam rozmawiać mógł ze swoją ukochaną i czuł się szczęśliwy i spokojny...

(Dokończenie nastąpi).

OJ, POJECHAŁBYM JA, POJECHAŁ.



Oj, pojechałbym ja, pojechał, czy po zboże, czy siano,
Byle tylko z tą moją, z tą Kazieńką kochaną.
Cobym snopa uwiązał i w drabiny go cisnął,
Tobym usty swojemi u ust lubej zawisnął.

Chociaż słońce ogniście piecze z niebios przeźroczy,
Jakby miało w swem wnętrzu mej kochanej dwa oczy,
Nie dbałbym ja na upał, co z błękitów wprost płynie,
Byle przebyć dzień cały przy mej drogiej dziewczynie.

I tak przy niejbym składał snop kłosisty do snopa,
Póki snopów tych zbożnych nie urosłaby kopa.
A co kopę do gumna bujnych snopówbym cisnął,
Tobym moją dzieweczkę ukochaną uścisnął.

I za każdym nawrotem mojej czwórki koników
Piłbym słodycz z jej ustek... I tak ciągiem bez liku
Od poranku do nocy i od zmierzchu do rana
Woziłbym ja to zboże, byle z Tobą, kochana!

Oj woziłbym, oj woził, patrząc na Twą urodę,
Byle tylko Bóg zsyłał światu temu pogodę,
Byle chmury z Twej twarzy tak, jak z nieba odganiał,
Byle Ciebie, kochana, od trosk przy mnie osłaniał.

A za pracę mą twardą chciałbym, droga dziewczyno,
By, choć w świecie upalne bezpowrotnie dni miną,
Nie minęły, nie znikły, dłoni Twojej uściski
I te cudne Twych oczu ukochanych odbłyski.

St. K.

Rewolucja w Wiedniu.

Wiedeń, stolica Austrji, przeżył kilka dni strasznych. W ubiegły piątek wybuchły tam rozruchy, które pociągnęły za sobą śmierć przeszło 200 osób i kilkaset rannych. Bezpośrednim powodem owych rozruchów była napozór sprawa błaha. Oto w Austrji, jak zresztą niemal wszędzie, są ludzie spokojni, umiarkowani, ale są i tacy, którzy za wszelką cenę chcą ująć w swe ręce władze, choćby po trupach przeciwników. Do nich należą wszelkiego rodzaju radykali, a z nimi, choć często wbrew swej woli, muszą iść socjaliści. Tak jest i w Austrji. Społeczeństwo tamtejsze tworzy dwa obozy: po jednej stronie stoją chrześcijańsko-społeczni, czyli tak zwani krótko antysemici, po drugiej żywioły radykalne, do których zaliczają się również socjaliści.

Przed kilku tygodniami radykali urządzili wycieczkę do Schaffendorfu, gdzie ludność sprzyja antysemitom, a na radykałów patrzy niechętnie. To też mieszkańcy Schaffendorfu uważali wycieczkę ową za prowokację, a jakiś nieroztropny chłopak, syn miejscowego karczmarza strzelił nawet do przechodzących ulicą i to tak nieszczęśliwie, że zabił jednego z robotników, a dwóch ciężko ranił. Sprawca został aresztowany i oddany pod sąd przysięgłych. Sąd go jednak uwolnił. To oburzyło do najwyższego stopnia robotników wiedeńskich. Ogłosili strajk powszechny, a skorzystali z tego komuniści i inne męty społeczne. Wyzyskano demonstracje przeciw wyrokowi i rozpoczęto krwawe ekscesy. W piątek przed południem robotnicy pociągnęli w pochodzie przed parlament i pałac sprawiedliwości. Dostępu broniła im policja. Przyszło do starcia, którego ofiarą padli ranni i zabici. To podrażniło tłumy. Robotnicy rzucili się na pałac sprawiedliwości, wyrzucili zeń wszystkie akta, a sam gmach podpalili. Buchnęły płomienie. Rzuciła się straż pożarna na ratunek, ale jej do ognia nie dopuszczono. Policja wobec tysięcznych tłumów okazała się bezsilna. Wkrótce zniszczono redakcje dwóch dzienników antysemickich, a na ulicach miasta poczęto wznosić barykady.

W Wiedniu rozpoczęła się formalna wojna pomiędzy własnymi rodakami. Po jednej stronie wystąpiły karne oddziały policji, po drugiej nieprzejrzane tłumy robotników, które wymknęły się z pod władzy przewódców socjalistycznych. Z za barykad powznoszonych na ulicach robotnicy razili policję pociskami, które, oprócz strzałów rewolwerowych stanowiły kamienie, cegły i t. p. przedmioty. Policja oprócz szabel zmuszona była użyć broni palnej, ale w wielu wypadkach musiała ustąpić przed naporem nieprzeliczonych mas ludu robotniczego. Zdawało się początkowo, że masy owe wezmą górę, że nawet socjaliści ich nie opanują, że nad Wiedniem zawiśnie komunistyczna chorągiew czerwona. Można było przypuszczać tembardziej, że nawet oddziały wojskowe wysłane na pomoc policji, a złożone z Wiedeńczyków, odmówiły posłuszeństwa, przechodząc bądź na stronę robotników, bądź rozchodząc się do domów. Ale rząd nie stracił głowy. Sprowadził policję i oddziały wojska z innych miast, nie przesiąkniętych bolszewizmem. I udało się mu sytuację opanować. W chwili, gdy te słowa piszemy, jeszcze nie zapanował spokój zupełny, ale można się spodziewać, że rząd da sobie radę i nie dopuści do jakiegoś większego przewrotu, który musiałby nastąpić, gdyby panami sytuacji stały się masy robotnicze, prowadzone przez agitatorów komunistycznych.



MACIEK BZDURA GADA:

Jakmy się zeszli w tamtą niedzielę u Matusa na bajki, tak Jagna od Mocymordziny pada:

— Jak posłuchacie, to wam opowiem taką gadkę o jednym ubogim studencie i o śtyrech ślepych dziadach.

— Słuchamy, słuchamy — odpedzieliśmy wszyscy, a Jagna tak prawiła:

— Był sobie raz bardzo ubogi skubant ze skół, co ani nawet portcąt na sobie porządnych ni miał, a o kosuli ani gadania nie było. Jednego razu pocął mu dokucać głód tak, ze nie wiedział co robić i zeby go zatumanić, postanowił komu jakiego figla wypłatać, co mu się tez wnetki udało.

Idzie sobie a medytuje, co i jakby zrobić, aż tu nagle spotyka śtyrech ślepych dziadów. Zatrzymał ich i pada do nich:

— Macie tu, dziady dukata! Idźcie do karcmy i pijcie, póki całego dukata nie przepijecie!

A nie dał im nic. Dziadowie byli niewidomi, więc nic dziwnego, ze każdy myślał, ze inny z dziadów onego dukata odebrał. Pośli więc do karcmy i zamawiają grubo i jedzą i piją, bo mają za co. A student stał na boku i przyglądał się, co będą robić potem, jak dukata przepiją. Skoro dziadowie obrachowali, że dukat przepity, zabrali się do wyjścia, sądząc, że ten, co dukata ma, zapłaci. Karczmarz, widząc, ze chcą wychodzić, nie pedziawszy ni be, ni me, kazuje sobie zapłacić za jedzenie i picie. Ślepi przystanęli i padają:

— To niechze zapłaci ten, który ma dukata — i znowu zabierają się do odejścia.

Karcmarzowi było tego juz zaduzo, bo myślał, ze mu się bez zapłaty chcą wymknąć, skocył ku drzwiom, zaryglował je i zabrał się do dziadów, okładając ich dokumentnie palicą.

— Toście bez pieniędzy przyśli — pada — a tak grubo zamawialiście, jak hrabiowie jacy, a teraz chcecie uciec.

Walił i walił, ile się zmieściło, a gdy się i sam juz zmordował dokumentnie, odemknął drzwi i dziadów wypuścił.

Dziadowie pomiarkowali, ze zostali przez kogoś osukani, uniewinniali się przed karcmarzem, ale on im nie uwierzył, ino był zdania, ze go umyślnie osukać kcieli.

Skoro zebracy wyśli, sarkali jeden na drugiego, ale nie mogli przyjść na to, kto im wypłatał takiego figla.

A student, co im tego figla zrobił, widział wszyćko od początku do końca, odsed od nich, bardzo ich załował i był smutny, bo widział, że źle zrobił. Sumienie się w niem obudziło, które mu powiadało, że nie należy się drwić ze starsych i ułomnych. Idąc powoli, rozmyślał nad owem przykrem zajściem w karcmie. Nagle widzi coś na drodze, schyla się i podnosi. Co za szczęście! Worecek z pieniądzmi! Obejrzał się na wszyćkie strony, cy go kto nie widział schylającego się. Nie było nikogo. Posed na ustronie i policył pieniądze. Było tego akurat 100 bitych talarów. Uradowany wielce z takiego scęścia, postanowił, jeśli tych dziadów gdzie znajdzie, to podzieli się z nimi na połowę. Stał się naraz weselszy i zawrócił do wsi.

Dochodzi do wsi i patrzy, a tu idzie jeden z tych śtyrech dziadów, co byli obici. Woła więc na niego, a gdy się dziad zblizył, tak mu powiada, ze to był on, który ich tak niemiłosiernie w pole wyprowadził.

— Ale teraz — pada znalazłem worecek ze stu talarami, to se umyśliłem, aby wam oddać 50 talarów za to pocęstowanie w karcmie.

Mówiąc to, student dał dziadowi owe 50 talarów. Dziad uradowany zacął dziękować, a wtem mu błysła inna myśl do głowy i rzece do swego dobroczyńcy:

— A duzy to był worecek?

Student wyjął worecek i zacął nim trząść przed dziadem, a dziad jednem sarpnięciem wydarł studentowi worecek, włozył go do zanadrza i zacął krzyceć, ze go student napadł i chce go obrabować.

Student się przestrasył, cofnął się od dziada i medytuje, coby mu zrobić za to. Śledził więc za dziadem, skoro ten posed do domu. Student za nim. Dziad uradowany z takiej zdobycy, przysed do chałpy, odemknął drzwi, otworzył je syroko i wsed do izby, a student po cichutku za nim. Dziad się rozebrał, wlazł pod łózko, dobył garnek z pieniądzmi, dobył talary z zanadrza, wsypał je do garka i pada:

— Chwała Bogu! Przecie raz dosypałem mego pięciokwarciaka.

Potem wlaz pod łózko, włozył do dziury, nakrył go cegłą i wylazł.

Student, nie cekając, co dalej będzie, wlazł pod łózko, dobył garnek i siadł sobie na ławie i cekał, co dalej będzie z tego. Dziadowi przypomniało się, ze jesce nie wsypał drobnych pieniędzy, co mu ludzie na jałmuznę dali, wchodzi więc drugi raz pod łózko i suka garnka, ale go tam nie było. Narobił krzyku, jaz przyleciał drugi dziad, co mieszkał za ścianą i pyta, co się dzieje? A dziad pada:

— Wicie, Bartłomieju! Dopirom schował pieniądze do garka, a juz nima ani garka, ani piniędzy!

A Bartłomiej mu na to krótko i węzłowato:

— Józefie! Tacyście starzy, a tacy głupi! Nie trzeba złota i srebra po garnkach chować, ale na papierowe zamienić, a do kapelusa zasyć.

Powiedziawsy to, zdjął z głowy kapelus, chcąc mu go pokazać i fiuchnął nim koło studenta, a student łap kapelus i juz go nima .A Bartłomiej myślał, ze mu go Józef wyrwał, więc dalejze za bary Józefa, a Józef jego. Pocęli się handrycyć i wodzić, a student był juz daleko i był bogaty. Co prawda łatwem sposobem przysed do majątku, ale ni miał całkowitego spokoju, bo karcmarz, co tak niewinnie dziadów sprał, pozostał nieukarany. Pocął więc myśleć, jakby ukarać karcmarza i wymyślił, a co, to wam na przysłą niedzielę opowiem.

Chcieliśmy, aby nam Jaga zaraz opedziała, ale gdzie tam, jak się baba uprze, to nicem narowista kobyła. Ani z przodu, ani z boku, ani z tyłu do ni nie przystąp, bo ona zawse postawi na swojem, a ciebie jesce zpostponuje. Nie upieraliśmy się więc bardzo i postanowiliśmy cekać do drugi niedzieli.

Wybuch największego wulkanu.



Wedle telegramów nadesłanych z Londynu, olbrzymi wulkan Manua Loa na wyspach Hawajskich i sąsiadka jego, ognista Kilauea są znowu od kilku dni czynne. Wśród groźnych huków podziemnych wybucha lawa, a nad kraterem Kilauea zauważono trzy krotnie olbrzymie jakby świecące ogniste fontanny. Wiadomość ta, którą drogą okrężną przez Nowy Jork i Londyn dostaje się do reszty Europy, ogłasza światu wybuch największego wulkanu na świecie. Wulkan Manua Loa jest wśród wulkanów tem, czem Mont Ewerest z pośród szczytów górskich. Jest to najpotężniejszy wulkan świata. Posiada on wysokość 4.300 metrów, a krater jego w formie elipsy jest w stosunku do kraterów innych wulkanów tem, czem jest olbrzym w stosunku do liliputa. Manua Loa zwraca uwagę badaczy nietylko swoją wielkością, ale i innemi właściwościami, spotykanemi u nie wielu tylko wulkanów. Olbrzym ten jest bardzo łatwo dostępny, pochyłość jego jest bardzo łagodna i wzrasta stopniowo, tak, że na szczyt tej ognistej góry można łatwiej się dostać, aniżeli na rozmaite szczyty alpejskie.

W przeciwieństwie do Etny, Stromboli, Wezuwjusza i innych znanych wulkanów, wybuchy Manua Loa i Kilauea mają przebieg można powiedzieć spokojny, jakby regularny .Wulkany wysp Hawajskich nie wyrzucają ze swych kraterów ani kamieni, ani deszczu popiołów, tylko czystą lawę. Mimo, że te potoki lawy płyną stosunkowo cienką strugą, płyną jednak w takiej obfitości, iż mogą tworzyć całe jeziora. Wybuchowi wulkanu i tym razem, jak zazwyczaj, towarzyszą ogniste fontanny lawy, których błysk rozjaśnia najciemniejsze noce.Fontanny te dochodzą do wysokości ponad 200 metrów. O wiele mniejszym, aniżeli Manua Loa, jest sąsiedni wulkan Kilauea. Wytworzone przezeń wspaniałe „ogniste jezioro“ jest jedną z osobliwości wulkanów hawajskich. Jezioro to jest potężnym, lawą wypełnionym jakby basenem. Przed kilku wiekami można było jeszcze zbliżyć się do brzegu i śledzić obraz kłębiących się mas lawy, tryskających na kilka metrów. W ostatnich czasach jednak lawa cofnęła się głębiej do wnętrza basenu. Mimo, że oba wulkany znajdują się stosunkowo blisko siebie, stwierdzono, iż nie są one połączone żadnymi kanałami podziemnemi. Dowodem tego jest fakt, że do tej pory nie zaobserwowano nigdy równoczesnego wybuchu obu wulkanów. Dopiero obecnie wiadomość, przychodząca z Londynu, donosi, iż oba wulkany są równocześnie czynne.

LIPA.

Jeśli dąb jest symbolem siły, odwagi i sławy — to lipa jest wyrazicielką tęsknoty, miłości, pieśni.

W prastarych czasach była lipa poświęcona bóstwom miłości. Pod konarami lip poprzysięgały sobie małżeństwa wierność na całe życie.

W cieniu lip odbywały się zabawy. Młodzież gromadziła się, by w korowodach i tańcach radować dusze — starszyzna na poważne rozmowy i narady.

Ponieważ za pogańskich czasów lipa była uważana za jedno z drzew, poświęconych bóstwom, nic dziwnego, że uważano ją za cudotwórczą. Tuż obok niejednej lipy znajdowały się ongi studnie lub źródełka, mające właściwości lecznicze. Nie wolno było jednak wody tej sprzedawać; traciła wtedy swą moc uzdrawiającą, lub znikała wogóle... Dopiero modły i posty przywracały źródłu siłę...

Lipa była też najczęściej drzewem, w którego spróchniałem wnętrzu umieszczano obrazy święte, naiwnie ciosane rzeźby; na konarach lip wieszano wota, umieszczano znalezione na gościncu podkowy...

W wyobrażeniach prostego ludu dotychczas utrzymuje się przekonanie o „specjalnej sile“ tkwiącej w pniu i listowiu lipy. Kora lipowa ubezpiecza przed czarami; popiół, rozsypany po polach, przed robactwem. Urzeczone bydło trzeba tłuc gałęziami lipy; trafia się wówczas wiedźmę i wypędza ją z obory...

Dawnemi czasy stanowiła lipa dla wieśniaka istną aptekę. W jednej z średniowiecznych książek „lekarskich“ czytamy, że lipowy kwiat, suchy a ogrzany „służy na głowę“: używa się go na omdlenia i paraliże. Kora, sucha a ogrzana, koi oparzenia. Nasienie pomaga przy krwawieniu. Polana lipy, wyciągnięte z ognia, należy polewać octem, a uzdrowią człowieka chorego na skrzepy krwi. Kwiat lipowy leczy zapalenia okostnej i opuchnięcia nóg. Żywica, wyciśnięta z drzewa goi rany i oparzeliny. Woda, wyciekająca z rdzenia rozłupanej lipy, powoduje silny porost włosów...

Oczywista wszystkie te środki „lecznicze“ nie ostały się wobec naporu wiedzy ścisłej i rozwoju sztuki medycznej. Dziś ostał się jeno kwiat lipowy jako wielce prozaiczne lekarstwo na poty, łatwy do nabycia za kilka groszy w każdym składzie aptecznym...

Wśród puszcz i stepów.

(Ciąg dalszy)

Nazajutrz po odjeździe Jelenia wrzącego przybył liczny hufiec Osagów. Byli to wojownicy, odszukani na dalekiej wycieczce myśliwskiej; pomimo wielkiego pośpiechu, nie mogli oni przybyć wcześniej na ratunek wodza, którego powitali z uniesieniem najżywszej radości, a Rafaelowi i białym jego towarzyszom serdecznie dziękowali. Orzeł czubaty oczekiwał na



Nadeszła chwila pożegnania.

nich; teraz musiał ich odprowadzić do rodzinnych siedlisk. Jakkolwiek umiał panować nad uczuciami swojemi, gdy nadeszła godzina pożegnania, szlachetny Indjanin nie zdołał ukryć głębokiego smutku. W milczeniu ściskał wszystkie dłonie, które się wyciągały do niego; rączkę Elli zatrzymał dłużej, i wzrok w twarzyczce jej utkwił, jak gdyby pragnął wyryć ten obraz w swojej duszy na zawsze, — wreszcie przycisnął do ust rękę młodej dziewczyny ze czcią rycerską i szybko się odwrócił.

Rafael także z serdecznym żalem żegnał przyjaciela, który przez lat tyle rodzinę mu zastępował, i odprowadził go o mil parę, a gdy wreszcie rozstać się musieli, Orzeł czubaty rzekł do niego:

— Brat mój powraca z ojcem do rodzinnego domu, do swoich ;nigdy już zapewne stopa jego nie postanie na tych stepach, w tych puszczach, nie ujrzą go więcej przyjaciele, którzy tu zostają. Boleść wielka przejmuje serce Orła czubatego. Już on nie znajdzie tak wiernego przyjaciela i brata, tak mądrego doradcy, tak dzielnego obrońcy w razie niebezpieczeństwa... Orzeł czubaty nie pocieszy się nigdy. A brat mój, czy też wspomni czasem wodza Osagów tam w oddalonej swej ojczyźnie?

— Zawsze, do końca życia pamiętać będę o tobie i kochać cię nie przestanę, wierny, szlachetny przyjacielu — odrzekł Rafael. — Żegnaj mi, Orle czubaty. nie roztkliwiajmy się, wszak nigdy nie mieliśmy tego zwyczaju.

— Tak, już pora nam się pożegnać. Niech brat mój powraca do ojca i siostry, niech też raz jeszcze pozdrowi od Orła czubatego piękną dziewczynę białą, Ellę; wódz Osagów do śmierci obraz jej zachowa w swem sercu. Jest śliczna, dobra i odważna, godna największego szczęścia, godna nawet... takiego męża jak Serce prawe...

I wyrzekłszy to z widocznem wysileniem, wódz Osagów wspiął konia ostrogami i galopem odjechał.

Rafael pozostał wśród lasu sam jeden; po męskiej jego twarzy spływały duże łzy, — otarł je szybko i podążył do swoich. Wszyscy już zamyślali o odjeździe. Don Ramon zwrócił się do starego Wattsona i zapytał:

— Dokąd pan udasz się teraz z rodziną?

— Sam nie wiem — odpowiedział tamten i czoło jego nagle się zasępiło. — Indjanie ogołocili mię ze wszystkiego, muszę więc szukać po świecie sposobu do życia.

— Jeżeli to panu wszystko jedno, czemużbyś nie miał jechać razem z nami do Meksyku, naszej ojczyzny?

— A cóżbym ja tam robił?

— Mógłbyś pan zostać dzierżawcą i w lepszych warunkach prowadzić gospodarstwo rolne.

— Za dzierżawę płacić trzeba, a ja nie mam pieniędzy — rzekł Wattson z westchnieniem — mogę tylko być „skwaterem“, założyć nową osadę w pustej, dzikiej puszczy.

— Ależ pan możesz śmiało zostać dzierżawcą u nas w Meksyku, nie mając grosza gotówki. Ja sam mam rozległą i piękną posiadłość, którą wypuszczam w dzierżawę. Teraźniejszy dzierżawca jest już bardzo stary i potrzebuje odpocząć, poszukuję więc innego na jego miejsce. Gdybyś pan chciał to wziąć na siebie, nie żądałbym z góry żadnej zapłaty. Nie idzie mi też wcale o wielkie zyski, tylko o to, aby posiadłość dostała się w dobre ręce i utrzymana była w porządku. Pan masz dzielnych synów do pomocy, córkę zapewne gospodarną i pracowitą, byłbym więc zupełnie spokojny, gdybym powierzył mienie moje takiemu dzierżawcy. A sądzę, że i pan na tem nieźle wyjdziesz; ów staruszek przybył tam bez grosza, dzisiaj zaś odchodzi człowiekiem majętnym. Cóż, czy się pan zgadzasz?

Wattson tak był uradowany, że w pierwszej chwili słowa wymówić nie mógł. Ciężki niepokój spadł mu z serca; podziękował gorąco don Ramonowi i bez wahania propozycję jego przyjął. Później dopiero wyszło na jaw, że pomysł ten poddał ojcu Rafael, a poparła go także Karmela, która nie chciała rozstawać się z Ellą; obie dziewczyny odrazu przylgnęły do siebie i pokochały się, jak siostry.

Poczciwy Cezar był w prawdziwym kłopocie; gdy oznajmił Dikowi, że musi zamieszkać u swojego pana, Rafaela de Saaverda, chłopak rozpłakał się rzewnie i murzyn sam nie wiedział, co robić. Rafael uspokoił go upewnieniem, że Cezar, jako człowiek wolny, będzie mógł kolejno przebywać w obu domach. Uszczęśliwienie dwóch młodych przyjaciół wzrosło jeszcze, gdy don Ramon, wyegzaminowawszy murzyna i dowiedziawszy się o niezwykłem jego zamiłowaniu do nauki, obiecał mu dostarczać książek ze swojej bibljoteki.

— Będziesz mnie uczył — rzekł Dik. — Pamiętasz jak nieraz słuchając twoich zajmujących opowiadań powtarzałem, że pragnąłbym także nabyć z książek różnych wiadomości. O, jakże szczerze starać się będę dorównać tobie, mój drogi Cezarze.

— Będziemy się razem uczyli — odrzekł murzyn.

Rafael prosił ojca, aby przed opuszczeniem puszczy na zawsze zwiedzili jeszcze wszyscy razem jego „twierdzę“, miał on tam bowiem różne pamiątki, które zabrać chciał ze sobą. Karawana wyruszyła zatem w tę stronę; jechano wolno, bez pośpiechu, a w twierdzy wypoczywać miano znowu przez dni kilka.

26. Opowiadanie Rafaela.

Wędrowcy nasi przed wieczorem przybyli do twierdzy. Upał dnia tego był nieznośny od samego rana.

— Okropna nawałnica się zbliża — odezwał się Johnson, spoglądając w górę ku chmurom. — Będzie to jeden z tych orkanów, tak pospolitych w Ameryce, co to drzewa wyrywają z korzeniami, jak źdźbła słomy, wodę w strumieniach i rzekach podnoszą wysoko i wszędzie sieją straszliwe spustoszenie.

— Masz słuszność, przyjacielu — rzekł Rafael — nawałnica wybuchnie niezadługo, to też najniepotrzebniej ci ludzie trudzą się urządzaniem szałasów. Wicher je poprzewraca i uniesie w mgnieniu oka, jak domki z kart. W podobnym razie najlepiej konie popętać i zmusić, aby się pokładły na ziemi, ludzie także powinni położyć się przy nich; tym sposobem jedynie zdołają się od gwałtowności wichru uchronić.

— Zaraz wydam stosowne rozporządzenia — odpowiedział Johnson.

Nagle ściemniło się, jakby wśród najciemniejszej nocy, błyskawica olśniewająca długim zygzakiem mignęła na niebie, i grom rozległ się prawie jednocześnie. Było to hasło, po którem nastąpiła kanonada nieustanna. Widok to był straszliwy, lecz i wspaniały zarazem w swej grozie.

Gromadka naszych przyjaciół, ukryta w podziemiu, gdzie wygnaniec pędził smutne lata osamotnienia, nie widziała i nie słyszała tego wszystkiego. Rafael siedział pomiędzy ojcem i siostrą.

— Synu mój — rzekł don Ramon — radbym bardzo poznać dokładnie wszystkie przygody, których doświadczyłeś w tej puszczy podczas długiego naszego rozłączenia. Czy nie zechciałbyś opowiedzieć nam dziejów swoich?

— Najchętniej spełnię życzenie twoje, ojcze drogi — odpowiedział Rafael. — Dzieje młodości mojej rzeczywiście są pouczające, niejeden mógłby z nich przykład i naukę zaczerpnąć. Wy zwłaszcza, młodzi przyjaciele, Benie, Diku i ty, Cezarze, zbliżcie się i słuchajcie.

Trzej chłopcy z zapałem pośpieszyli na to wezwanie. Wszyscy uwielbiali młodego myśliwca, a nadzieja usłyszenia dziejów jego życia napełniła ich wielką radością. Rafael rozpoczął opowiadanie od samego początku; mówił o burzliwych swych latach chłopięcych z całą szczerością, nic nie ukrywając. Twarz jego zasępiła się znowu, gdy kreślił ten smutny obraz dawniejszego swego życia, gdy mówił o występnej lekkomyślności, uporze i zaciętości, którymi tak ciężko obraził ojca. Opowiedział następnie, jak ojciec go ukarał, uwożąc w głąb puszczy i pozostawiając samego; tu dodał, że surowy ten wyrok, który mu się wówczas okrucieństwem wydawał, dziś błogosławi, gdyż ciężkie warunki życia doprowadziły go do opamiętania.

— Co się działo ze mną — mówił dalej — gdy Euzebjo się oddalił i pozostałem sam jeden w puszczy, tego żadne słowa określić nie zdołają. Z jednej strony buntowałem się przeciw tobie, ojcze, a z drugiej znów czułem w sercu budzący się dziwny, mimowolny żal do siebie samego. Chwilami pragnąłem biedz za tobą, dogonić cię i objąć twoje kolana, błagając o przebaczenie. Miałem przeświadczenie wewnętrzne, że toby mi ulgę przyniosło. Lecz zacięty upór zwyciężył to uczucie i biegłem w stronę przeciwną, oddalając się coraz więcej od siebie. A tymczasem w uszach mi brzmiały ciągle słowa twoje, o których i później nigdy nie zapomniałem: „Nie umiałeś żyć pośród ludzi oświeconych, przestawajże z dzikiemi plemionami i zwierzętami drapieżnemi. Nie chciałeś ulegać nikomu, będziesz musiał teraz ugiąć się przed wyższą władzą Tego, który rządzi światem całym. Oddaję cię w ręce Boga; może On pychę twoją zamieni w pokorę, dziki upór twój poskromi, naprowadzi cię na lepszą drogę“.

Wówczas, ojcze, nie rozumiałem jeszcze tych słów twoich; brzmiały mi wprawdzie w uszach, lecz drażniły mnie tylko i zwiększały żal mój do ciebie. Zamiast skruchy i pokory, zgubna pycha wzrastała w sercu mojem. Postanowiłem na przekór tobie o własnych siłach dawać sobie radę w tem trudnem położeniu; o modlitwie i wzywaniu pomocy i opieki Bożej nie pomyślałem nawet. Miałem broń, amunicję, nie brakło mi też zapasów żywności, powiedziałem więc sobie, że nie potrzebuję nic więcej. Ten rodzaj życia nie był dla mnie zupełnie nieznanym; nieraz dni i tygodnie spędzałem na dalekich myśliwskich wyprawach, nocując pod gołem niebem, wędrując w okolicach odludnych i dzikich, gdzie stopa ludzka nigdy może przedtem nie postała. Lecz wyprawy te odbywałem zawsze w towarzystwie starszych myśliwców, — wkrótce też przekonałem się, że to było coś zupełnie odmiennego. Wówczas widziałem przy sobie twarze innych ludzi, myślałem o powrocie do miejsc zamieszkałych; teraz byłem sam, sam jeden, i wkrótce ogarnęło mnie przygnębiające uczucie osamotnienia i opuszczenia.

Przez dzień cały błądziłem tu i owdzie, nie myśląc o obraniu sobie stałego siedliska; w głowie mojej panował zamęt. Wieczorem zatrzymałem się nad brzegiem małego strumienia, wijącego się wśród gąszczów leśnych. Piękne to ustronie wyglądało na przybytek spokoju i ciszy, lecz zarazem wywierało wrażenie pustelni. Długo stałem na wybrzeżu i wpatrywałem się w przejrzystą wodę strumyka, pogrążony w smutnych, posępnych myślach. Potem zacząłem się oglądać dokoła, szukając miejsca stosownego na nocleg. Spostrzegłem w pobliżu ślady różnych zwierząt, a między innymi i jaguarów, które tu zapewne przychodziły pić wodę; wieczór zapadał, zwierzęta zwykle o tej porze zaspakajają pragnienie, — co chwila mogłem więc ujrzeć te straszne, drapieżne istoty; ujrzałem przed oczyma wyobraźni rozwarte ich paszcze, uzbrojone w ostre zęby i zadrżałem od stóp do głowy.

Pierwszą myślą moją było uciekać z tego okropnego miejsca, lecz gdzież miałem znaleźć bezpieczniejsze schronienie? Nie zastanawiając się jednak nad tem, gnany trwogą mimowolną, biegłem prosto przed siebie, aż póki się nie ściemniło zupełnie. Zmęczony i zdyszany, zatrzymałem się wreszcie; przyszedłszy nieco do siebie, rozpaliłem ogień, przypomniałem sobie bowiem, że to najlepszy sposób odstraszenia drapieżnych zwierząt. Nic nie jadłem od rana, a jednak głodu nie czułem. Później dopiero otworzyłem torbę, zawierającą zapasy żywności, gdyż rozsądek nakazywał posilić się czemkolwiek; instynkt zachowawczy zwyciężył przygnębienie moralne. Układając pakunki w torbie, przypadkiem wyrzuciłem z niej małe zawiniątko, które mi dał przy pożegnaniu

Euzebjo. Podniosłem je, odwinąłem papier i ujrzałem małą książeczkę. „Naśladowanie Chrystusa".

Widok ten w pierwszej chwili tak mię oburzył, że wyrzuciłem książkę, lecz po jakiejś chwili odszukałem ją w trawie i włożyłem na dno torby. Tłómaczyłem sobie, że staruszek uczynił to w dobrej chęci; czemuż nie miałem zachować tej pamiątki, chociaż nie mogła mi przynieść żadnego pożytku? Takie było wtedy przekonanie moje, — później dopiero błąd swój poznałem.

Długo, bardzo długo tego pierwszego wieczora oczu zamknąć nie mogłem ;w końcu jednakże młodość i znużenie pokonały burzę wewnętrzną i usnąłem snem kamiennym. Nic nie przerwało spoczynku mego tej nocy, obudziłem się o świtaniu; resztki ogniska nie wygasły były jeszcze, — roznieciłem je więc i wysuszyłem odzienie, przemoczone rosą nocną. Zacząłem rozmyślać nad tem, co dalej począć; nie przyszło mi nawet na myśl, aby przełamać wolę ojca i powrócić do ojczyzny. Przeciwnie, postanowiłem o ile możności oddalić się od rodzinnej ziemi, opuścić Meksyk i skierować się ku północy. Pewien doświadczony myśliwiec, któremu nieraz towarzyszyłem na wycieczkach, nauczył mię, jakim sposobem w nieznanej okolicy można zawsze, w każdej porze dnia, rozróżnić przynajmniej cztery strony świata i zachować jednostajny kierunek w pochodzie.

Upływały dni i tygodnie; w wędrówce mojej przebywałem wzgórza, rzeki i strumienie, przyczem niejedna mię spotkała przygoda. Zaczynałem się pomału oswajać z tym nowym rodzajem życia i nawet smakować w niem trochę. Strzelałem bardzo zręcznie, a gdy wyczerpałem proch i kule, miałem już zapas skór kosztownych i napotkawszy po drodze osady myśliwskie, wymieniłem je na świeżą amunicję. Wogóle w potrzebie tylko zachodziłem do mieszkań ludzkich, postanowiłem bowiem sumiennie spełnić wolę ojca, który mię skazał na przebywanie pośród dzikich zwierząt. Ach! wyznaję to szczerze, nie tyle w tem było może sumienności, ile nagannej pychy; usiłowałem wmówić w siebie, że to, co ojciec za karę uważał, nie było dla mnie wcale karą, lecz dogadzało upodobaniom moim.

Tymczasem dłuższe osamotnienie, przebywanie wśród najwspanialszej przyrody, a przy tem brak wszelkiej sposobności i zachęty do złego, wszystkie te nowe warunki życia dobroczynny wpływ na mnie wywierały.

Po długiej wędrówce przybyłem wreszcie do tej okolicy, gdzie znajdujemy się obecnie. Od dni kilku czułem się niezdrów, ustawiczne trudy i niewygody musiały w końcu nadwyrężyć nawet mój silny organizm. Miewałem częste zawroty głowy, pragnienie mi ciągle dokuczało, chociaż jeść nie mogłem; nogi chwiały się podemną i coraz wolniej wlokłem się dalej. Trwoga niewypowiedziana przejmowała mię na myśl, że mogę ciężko zachorować w tem pustkowiu. Na setki mil dokoła darmobym tu zapewne szukał mieszkania ludzkiego; byłem sam jeden wśród dzikiej, leśnej gęstwiny, wystawiony na deszcze, wichry, nawałnice, narażony na żarłoczność drapieżnych zwierząt, bez żadnej ochrony i pomocy. I wówczas mimowoli nasuwały się myślom moim obrazy przeszłości, wyobraźnia przedstawiała mi urok domowego ogniska, tkliwą miłość i troskliwość ojca i siostry... Usiłowałem odpędzić te myśli, przytłumić rzewniejsze uczucia; upór nie złamał się jeszcze, — trzeba było silniejszego bodźca na to, aby mi się oczy otworzyły.

Choroba moja wzmagała się szybko; chwilami przejmowały mię zimne dreszcze, to znów gorączka paliła straszliwie. Musiałem przerwać wędrówkę i upatrzyć miejsce na dłuższy wypoczynek. Myśl o śmierci samotnej w tem pustkowiu przejmowała mię grozą niewypowiedzianą. Często w gorączce traciłem przytomność, a gdy powracała, już nie odpychałem tkliwszych wspomnień; zaciętość moja zaczynała zwolna mięknąć, uczucie szczerej skruchy zbudziło się w duszy i wywołało przesilenie stanowcze.

— O synu mój, biedny, ukochany synu, ileż ty wycierpieć musiałeś! — odezwał się don Ramon głosem wzruszonym, tuląc rękę młodzieńca w swoich dłoniach.

(Dokończenie nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

Z pomiędzy much, które udaremniają pracę rolnika, na pierwsze miejsce wybija się niezmiarka zbożowa. Jest to szkodnik najniebezpieczniejszy. Mucha ta lęgnie się wczesną wiosną z poczwarki, zachowanej przez zimę w trawie. Składa ona jajka w późniejsze zasiewy wiosenne, zwłaszcza pszenicę, jęczmień i owies. Z jajeczek lęgną się gąsieniczki i żywią się dolną częścią źdźbła. Wskutek tego źdźbło żółknie i nie wydaje kłosu, przy jęczmieniu rozkłada się i rozsypuje na czarny pył.

Niezmiarek zbożowych mamy kilka rodzajów. Paskowata, czarno - brunatna, niezmiarka pszeniczna żyje tylko na pszenicy i jest tak mała, jak komar. Pojawiają się masowo w kwietniu, znosząc jajeczka w najmłodsze rośliny, zaś dopiero z tych jajeczek wykłute gąsieniczki przepoczwarczają się i w lipcu wylatują całe roje muszek, aby złożyć jajka i przepoczwarczyć się przy końcu sierpnia, zaś to pokolenie dopiero przezimowuje, aby wyjść znów na wiosnę. Te trzy okresy należy ominąć, to znaczy tak rozłożyć zasiewy, aby na czas masowego wykłucia się niezmiarki, zboże już dobrze się rozrosło, a wtedy nie złoży mucha swych jajeczek, i w ten sposób uchronimy je od zniszczenia. Jedne z nich lubią przebywać na owsie, inne na jęczmieniu, ale niezmiarka paskowana z czarnemi i żółtemi pręgami upodobała sobie głównie pszenicę i sprawia wielkie spustoszenie. Słomę nawiedzoną tą plagą należy spalić, aby poczwarki przechowane w niej się nie przeobraziły.

Oprócz niezmiarki wielkie szkody wyrządza mała muszka zwana zdziebelnikiem; jest to gatunek małej czarnej osy. Osa ta z wiosną w maju i czerwcu znosi jajeczka w źdźbła nad najwyższem kolankiem, z którego wykłuwa się gąsieniczka, ta wgryza się w źdźbło z góry na dół i powoduje jego żółknięcie. Na zimę zostaje w ścierni. Aby się pozbyć tego szkodnika należy ścierń głęboko przyorać, aby wykłuta osa nie mogła się wydobyć na wierzch i w ten sposób ginęła. Inna muszka zwana wciórnastkiem zbożowym, drobniutka czarno-brunatna, siedzi w najwyższym liściu zbożowym, objada prawie doszczętnie kłos zbożowy, że zostaje tylko osadka. Pojawia się bardzo rzadko na późnych zasiewach zbóż jarych.

Owady te, pojawiające się w dużej ilości w pewnej okolicy, nie dadzą się wyniszczyć na jednym ka-

wałku pola, ale trzeba, aby wszyscy wspólnie według z góry ułożonego planu rozpoczęli z nimi walkę, gdyż klęska, wyrządzona przez te małe owady jest bardzo dużą, i często pojedynczy rolnik byłby wobec nich bezbronny.

Często słoma pokryta jest rdzą szkodliwą na zdrowie i mleczność bydła rogatego, i należy unikać dawania takiej słomy. Rdza na zbożu pojawia się już jesienią, zaś z wiosną występuje silniej i sprawia, iż słoma zaczyna żółknąć, zboże nie wykształca się należycie. Na liściach zboża powstają plamki czerwone, które zwłaszcza podczas lata wilgotnego powiększają się i z nich wysypuje się drobniutki pyłek, gołem okiem niedostrzegalny, który dalej roznosi rdzę. Zarażoną rdzą słomę należy dobrze zgnojić, i takiego nawozu nie używać na pole pod zboża, ale użyć pod rośliny okopowe, gdyż w nawozie znajdujemy dużo zarodników rdzy.

Często pszenica zaśmieca się nam, a przyczyną tego, iż zwłaszcza w latach mokrych pojawia się śnieć, która sprawia, iż kłosy nie uformują się, ale wydają ziarno jakieś ciemne, które zgniecione rozsypuje się na czarny proszek. Przy omłocie pszenicy proszek ten wala nam wszystko ziarno, przez co to traci na wartości. Środkiem wypróbowanym przeciw temu szkodnikowi jest bajcowanie ziarna przed siewem zapomocą rozpuszczonego siarkanu miedzi, który radykalnie niszczy grzybek śnieci i chroni ziarno od tego szkodnika.

Jan Matysik.



Hej do pracy!...

Hej, kosiarze, bierzcie kosy,
W polu dojrzewają kłosy,
Rola się wam odwdzięczyła,
Bogaty plon obrodziła.

Hej, kosiarze, dalej żywo,
Bierzcie kosy, w polu żniwo,
To zapłata za trud poty,
Zachęca was do roboty.

Hej, kosiarze, szczęście tryska,
Z waszej twarzy radość błyska,
Będzie znowu chlebuś nowy,
Dajże Boże, by był zdrowy,

I tę „Rolę“ drukowaną,
Przez dobrych ludzi pisaną,
Uprawiajmy, popierajmy,
Nowe zastępy jednajmy.

Za to wszyscy skorzystamy,
Żniw się z „Roli“ doczekamy;
Pomagajmy więc tej „Roli“,
Jak kto umie, może, zdoli.

Wspierajmy fundusz prasowy,
Gdyż tak każe rozum zdrowy,
Zalecać ją innym wszędzie
Niechaj naszem hasłem będzie.

Hej, ta „Rola“ niechaj będzie,
W całej Polsce, wszędzie, wszędzie,
I jednajmy jej jak najwięcy,
Czytelników sto tysięcy.

Józef Morawa.

KRONIKA.

Od Administracji. Na czas żniw niniejszy numer jakoteż kilka następnych numerów wydajemy bez okładki.

Wycofywanie starych pieniędzy. Bank Polski przystępuje z dniem 1 sierpnia 1927 r. do wycofania z obiegu 50-złotowych biletów bankowych pierwszej emisji z datą 28-go lutego 1919 r. Bilety te przestają być prawnym środkiem płatniczym 31-go stycznia 1928 r. Od 1-go lutego 1928 r. do 31 stycznia 1929 r. będą przyjmowane do wymiany przez oddziały Banku Polskiego i Polską Kasę rządową w Gdańsku, po upływie tego termimu wymianę załatwiać będzie tylko skarbiec emisyjny Banku Polskiego w Warszawie do 31-go lipca 1930 r. włącznie, poczem tracą wartość pieniężną.

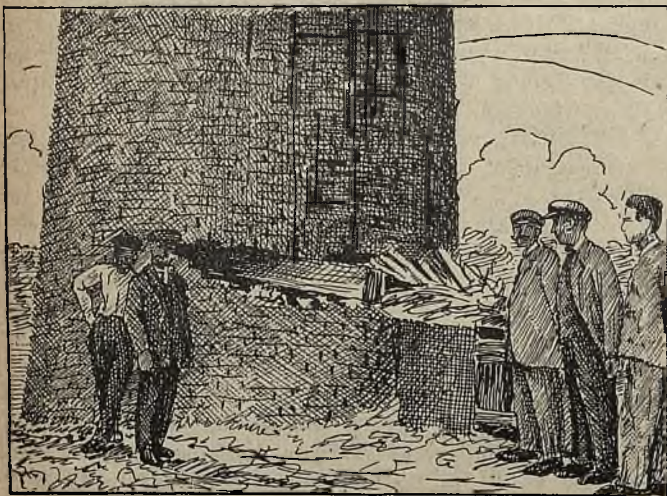
Potworny czyn żebraczki. Z Warszawy donoszą o wstrząsającem odkryciu, jakiego dokonała na jednej z głównych ulic Warszawy żona pewnego oficera. Pani ta zainteresowała się pewnem małem dzieckiem z obwiązanem okiem. Dziecko to na ręku matki, znanej na tej ulicy żebraczki nieustannie płakało. Zapytana o przyczynę tego płaczu, matka nie umiała dać jasnej odpowiedzi. Tknięta przeczuciem żona oficera, zdjęła dziecku ową szmatkę z oka. Pod szmatką, na zapuchniętem, przekrwawionem oku dziecka, umieszczono skorupę z orzecha włoskiego, a w niej dużego pająka. Pająk zamknięty w skorupie, a przyłożony bezpośrednio do oka, wżerał się w nie widocznie od dłuższego czasu. Dziecko skarżyło się przeraźliwym głosem i na tem widocznie oparła zbrodnicza matka-żebraczka nadzieje obfitszych datków. Policja aresztowała ową kobietę.

Żona w worku. Onegdaj zdarzył się w Warszawie następujący zabawny wypadek: Młody woźnica Abram Cymes miał ciągle zatargi ze swą żoną Gitlą. Wreszcie gdy już stracił cierpliwość, zażądał od żony rozwodu. Lecz Gitla na to zgodzić się nie chciała. Wtedy młody woźnica wpadł na dość dziwny pomysł. Gdy urocza Gitla w jak najlepsze spała, nie budząc jej, wsadził ją do worka, worek zawiązał, zarzucił sobie na plecy i poniósł najdroszy ciężar do rabina. Po drodze przechodnie poczęli zwracać uwagę na krzyki dolatujące z worka. Pytany, co to jest, woźnica odpowiedział, że niesie prosiaki. Nie uwierzono mu jednak, gdyż Gitla coraz głośniej krzyczała:

— On kłamie! ja jestem jego żoną!

Tłum odprowadził Cymesa z workiem do rabina. Tam Cymes oświadczył, że nie może o rozwodzie mówić spokojnie, skoro połowica siedzi w worku. Wypuszczona z worka Gitla Cymes wpadła w niezwykły szał i chwyciwszy najbliższe krzesło, rzuciła niem w głowę męża tak mocno, że omal nie rozbiła mu czaszki. Naturalnie, że wtenczas o rozwodzie nie mogło być mowy. Gdy pobitego dotkliwie Cymesa opatrywał lekarz, Gitla Cymes czmychnęła tymczasem do domu i gdy po chwili wrócił jej mąż, zastał drzwi swego mieszkania mocno zaryglowane, a mieszkanko całe przemienione na barykadę. Powstał bój ponowny, fruwały w powietrzu naczynia kuchenne i kamienne, rzucane przez męża, leciały rozbite szyby, słychać było krzyki lokatorów. Wreszcie, gdy zjawiła się policja, stał się fakt niespodziewany. Barczysty Cymes wyważył drzwi i gdy myślano, że zacznie bić żonę, ukląkł i począł ją błagać o przebaczenie. Wojownicza Gitla dała się udobruchać i śmiejąc się, przebaczyła mężowi. Obecnie już nie chcą iść do rabina po rozwód, lecz pójdą do sądu, oskarżeni o zamącenie publicznego spokoju.

Koniec olbrzyma. W ubiegłym tygodniu we Lwowie na polach Skniłowa za rogatką Gródecką obok budującego się lotniska, zawalono przy cegielni komin, który stawał się przeszkodą w lądowaniu aeroplanów. Zawalenie nastąpiło w niezwykły sposób. U podstawy komina w większej części obwodu wybijano po kilka cegieł, poczem zaraz podstęplowano sosnowymi klockami, nasiąkniętymi benzyną i naftą. Wreszcie w ostatniej chwili przygotowane trzaski oblano benzyną i wszystko równocześnie podpalono. Wskutek spalenia się klocków, komin wysoki na 47 metrów, stracił w swej połowie podporę i runął w kierunku tej strony, z której wybrane były cegły.



Na naszym obrazku widzimy z jednej strony wybity otwór w podstawie komina, obok którego z prawej strony stoi architekt, prowadzący budowę na lotnisku, a z lewej stoją murarz i cieśla, którzy wykonali główne roboty przy zawaleniu komina.

Babska rada gminna. Ciekawy wynik przyniosły wybory w Gwoźdźcu w gminie powiatu czortkowskiego, gdzie wszystkie mandaty zdobyły kobiety. Zabawny wynik dały wybory w gminie Minutowice, gdzie na zwalczających się listach kandydowali z jednej strony nauczyciel miejscowy i pop prawosławny, na drugiej ich żony. Ta ostatnia lista zwyciężyła.

Katastrofalna powódź. Na pograniczu sasko-czechosłowackiem, w nocy z 8 na 9 b. m. nastąpiło oberwanie się chmury i straszliwa burza, która zniszczyła całkowicie dolinę rzeki Müglitz. Wskutek oberwania się chmury rzeka Müglitz zalała całą dolinę, niszcząc nietylko okoliczne wioski, ale także większą miejscowość kuracyjną Bergshübler. Miasto Tirma zostało przez burzę bardzo poważnie uszkodzone. W samem mieście odnaleziono dotychczas 21 osób utopionych. Miasto Glasshüte zostało nawiedzone jakgdyby potopem. Powódź zalała dworzec do wysokości 3 metrów ponad plant kolejowy. Pociąg, który tylko przypadkowo był zatrzymany na dworcu, miał bowiem odjechać w kierunku stacji następnej, został zatopiony do wysokości połowy wagonów. Podróżni nie zdołali wydostać się z pociągu, kilka osób, starających się uratować, wyskakując oknem, porwał prąd. Dopiero po upływie dwóch godzin straż ogniowa i oddziały pionierskie zdołały wydostać z pociągu przez okna kobiety i dzieci i przenieść je do budynku dworcowego, gdzie umieszczono je na pierwszem piętrze. W pociągu, który się na stacji znajdował, woda wybiła wszystkie okna. Inny pociąg na szczęście bez pasażerów, stojący w pobliżu dworca, został porwany przez prąd, tak, że wagony spiętrzyły się jeden na drugim. Komunikacja telefoniczna, kolejowa i automobilowa została niemal całkowicie przerwana. W miejscowości Goldkuba powódz zniszczyła niemal połowę miasteczka. Ze 130 domów, znajdujących się w tem mieście, połowa przestała zupełnie istnieć. Most kamienny pod miastem Glasshütte, istniejący od 400 lat, został zupełnie zburzony. Wioska Eisengrund została zupełnie zmieciona przez powódź. Ani jeden dom nie ocalał. Starostwo powiatu ogłasza, że należy się liczyć przynajmniej ze 150 ofiarami w ludziach.

Szaleniec w klasztorze. W mieście wirtemberskiem, Tingen, zdarzył się niedawno okropny dramat. Niejaki Oslaw Geiger, robotnik, wtargnął do refektarza klasztornego, gdzie przy obiedzie znajdowały się zakonnice, obsługujące chorych i z okrzykiem: „wszystkie was pozabijam!“ — począł strzelać, kładąc trupem przełożoną i raniąc ciężko trzy inne zakonnice. Reszta ratowała się ucieczką przez okna. Geiger następnie sam strzelił do siebie, lekko się raniąc. W chwilę później został aresztowany.

Przykład odwagi. Od dwóch lat słynna katedra w Moguncji zagrożona była runięciem na skutek głębokich szczelin, które potworzyły się w podtrzymujących nawę kolumnach. Najsłynniejsi architekci niemieccy opracowali śmiały plan ocalenia kościoła, stanowiącego jeden z najwspanialszych zabytków budownictwa średniowiecznego. Celem osiągnięcia pomyślnych wyników należało zasypać powstałe otwory cementem w ilości aż 10 tysięcy metrów kubicznych, co jednak było czynnością nader niebezpieczną dla zatrudnionych przy tej pracy osób ze względu na fatalny stan katedry. Robotnicy oświadczyli, że zgadzają się urzeczywistnić ten śmiały plan, wymagają atoli, by jego autorowie, architekci, dali przykład odwagi i weszli pierwsi do walącej się świątyni. Warunek ten spełniony został bez najmniejszego wahania przez budowniczych, dzięki temu katedra jest dziś uratowana.

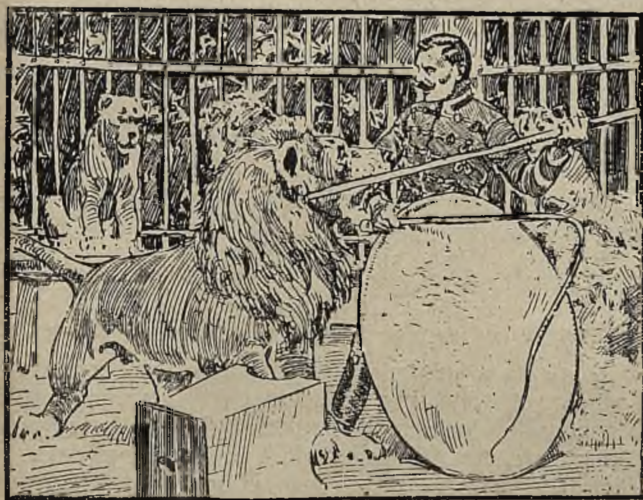
Zamach na ministrów rumuńskich. Donoszą z Kiszyniewa, że policja rumuńska wpadła w Kiszyniewie na trop organizacji wywrotowej, która usiłowała dokonać zamachu terorystycznego na sobór prawosławny w Kiszyniewie w rodzaju zamachu, dokonanego w swoim czasie na sobór w Sofji. Zamach miał być dokonany podczas nabożeństwa z okazji pobytu ministrów rumuńskich w Besarabji. Zamachowcy umieścili w ołtarzu soboru maszynę piekielną, wypełnioną materjałem o niezwykłej sile wybuchowej. Zostało to jednak spostrzeżone i maszyna została usunięta na dwie godziny przed terminem, w którym miała wybuchnąć. W Kiszyniewie i innych miejscowościach dokonano licznych aresztowań.

Chłopiec wybawcą. Przed kilku dniami nawiedził straszliwy orkan stolicę Jugosławji Białogród i okolicę. Przyszedł tak nagle wśród pięknego ale skwarnego dnia, iż wiele łódek, wiozących amatorów wioślarstwa, nie zdołało wrócić do przystani i znajdowało się na falach Dunaju. Między wioślarkami znajdowała się 22-letnia Olga Haniszówna wraz ze swą przyjaciółką. Zaniepokojony o los swej siostry 15-letni Cyryl Hanisz, pobiegł na brzeg i dojrzał z daleka borykającą się z falami łódkę. Oldze i jej przyjaciółce groziła pewna śmierć. Bohaterski chłopiec nie przeląkł się piorunów. szalonego wichru i ulewy, wsiadł do małej łódki i dobił do tonącej łodzi. Przybył w ostatniej chwili. Siostra i jej przyjaciółka omdlały z wyczerpania. Cyryl dowiózł je szczęśliwie do brzegu.

Francja pod wodą. Orkan, szalejący we czwartek nad dwoma departamentami środkowej Francji zagroził przedewszystkiem miejscowości Beauvais, gdzie gwałtowna ulewa podmyła dwie ulice, tak, że część domów

spłynęła z wodą i mieszkańcy nie mogli się uratować. Płynęli oni przeszło kilometr na dachach walących się domów. Przyczyną katastrofy było nagłe wezbranie rzeki Viennie. W Limogea straż pożarna zdołała ocalić mieszkańców, jednakże mienie ich pochłonęła woda. W Trevillers koło Besancon piorun uderzył w zakłady elektryczne, które stanęły w ogniu. Pożar wybuchł równocześnie w pięciu miejscach, nie było więc mowy o ratunku. Cała miejscowość spaliła się.

Pod kłami lwa. W mieście francuskiem Brantome daje przedstawienia menażerja, której główną atrakcją jest wspaniały lew z Atlasu, Brutus. Przed kilku dniami pogromca Dumont wszedł do klatki jak zwykle i strzelając z bata, zaczął tresować Brutusa, Ten jednakże tego wieczoru był niezwykle zdenerwowany i w pewnej chwili, zanim pogromca zdołał odskoczyć na bok, lew wydarł mu kawał ciała z ramienia, a następnie jednem uderzeniem łapy zdarł z czaszki nieszczęśliwego skórę z włosami.



Niełatwą było rzeczą ubezwładnić rozszalałego króla pustyni, którego zapach świeżej krwi przyprawił o prawdziwy atak wściekłości. Bardzo ciężko rannego pogromcę odwieziono do szpitala w sąsiedniem mieście Perigeux.

Żywy trup. Dzienniki francuskie donoszą: Dyrektor jednego z największych przedsiębiorstw pogrzebowych w Paryżu, niejaki Meunier, wyjechał na prowincję, celem pozakładania tam oddziałów swego przedsiębiorstwa, aby móc zmonopolizować dochody z pogrzebów, przeprowadzanych przy pomocy krematorjum, to jest przez spalenie ciał. Pomysłowy Meunier, upewniwszy się, że w mieście Lorient jest wielu zwolenników spalania ciał, uważał, iż mógłby tam mieć powodzenie i, celem załatwienia formalności z władzami, udał się do miejscowego mera (burmistrza), aby uzyskać jego zgodę na wybudowanie krematorjum. Burmistrz Svob przyjął p. Meunier dość grzecznie, ale chłodno, przyczem oświadczył mu, że na razie nie może dać mu ostatecznej odpowiedzi, gdyż rzecz ta wymaga głębszego namysłu i dlatego radził, aby p. Meunier przyjechał jeszcze raz do miasta Lorient. Burmistrz jest człowiekiem bardzo religijnym, przeciwnikiem spalania ciał, a ponieważ miał wrażenie, że Meunier chciał go przekupić, w międzyczasie urządził na niego pułapkę. Przedsiębiorczy Meunier, nie przeczuwając nic złego, przybył do Lorient powtórnie i tym razem już stanowczo nalegał, aby mu burmistrz udzielił pozwolenia na wzniesienie krematorjum, a przypuszczając, że łapówką zdziałać może więcej, położył burmistrzowi na stół 3.000 franków. Nagle stół, przy którym obaj siedzieli, rozsunął się i stanął przed nimi urzędnik magistracki, umówiony z burmistrzem. Urzędnik ten podsunął p. Meunier pod nos zeszyt, w którym miał wystenografowaną całą jego rozmowę z burmistrzem. Ale nie koniec na tem; w tej samej chwili otworzyły się drzwi, z za których wyszli dwaj robotnicy, niosący trumnę i policjant. Stróż bezpieczeństwa oświadczył krótko p. Meunier, że jest aresztowany, a obaj robotnicy, obezwładniwszy przedsiębiorcę pogrzebowego, skrępowali go sznurami, włożyli do trumny i ponieśli przez ulice. Pan Meunier krzyczał na cały głos, wzywając pomocy, ale daremnie, gdyż urzędnicy policyjni byli dokładnie już poprzednio o wszystkiem poinformowani, zaś burmistrz nakazał im zupełnie bierne zachowanie się na widok przenoszonej trumny. Następnie robotnicy zanieśli p. Meunier do więzienia i postawili w jednej z cel odkrywając wieko trumny. I tam „żywy trup" wzywał pomocy, ale widząc, że wszystko na nic, pogodził się narazie ze swym losem. Po upływie 48 godzin ukazał się w drzwiach celi dozorca więzienny, który powiedział p. Meunier, że przychodzi, aby go uwolnić, ponieważ odsiedział już zasłużoną karę. „Żywy trup" natychmiast udał się na kolej i odjechał pociągiem do Paryża, skąd wystosował do sądu w Lorient skargę przeciwko burmistrzowi, oskarżając go, że tylko na jego żądanie położył na stole 3.000 franków. Burmistrz Svob wniósł także skargę przeciwko p. Meunier o przestępstwo przekupstwa.

Oryginalne zaproszenie. Pastor Anderson, któremu udowodniono szereg zbrojnych napaści i udział w paru morderstwach, skazany został przez trybunał w San Louis na karę śmierci przez powieszenie. Sędziowie po ogłoszeniu wyroku, postawili zbrodniarzowi tradycyjne pytania, odnoszące się do ostatniego życzenia. Andersonowi pozwolono na jego prośbę, rozesłać do sześciu swoich najserdeczniejszych przyjaciół wezwanie do asystowania przy wykonaniu wyroku. Zawiadomienia wydrukowane zostały na wspaniałym papierze i ozdobione artystycznymi winietami. Widniał na nich następujący tekst: „Wielebny pastor R. W. Anderson ma zaszczyt prosić WPana o łaskawe przybycie na akt powieszenia go, który odbędzio się dnia 5 b. m. o godzinie 5 rano w gmachu więzienia w Cottenham, San-Louis".

Niemądry książe. W Kopenhadze jest szkoła, która wśród ludu nosiła miano „królewskiej", uczęszczały tam bowiem dwie córeczki duńskiego księcia Haralda. W ostatnich dniach pozbawiło ją tego tytułu następujące zdarzenie. Jedna z księżniczek jest dzieckiem bardzo nieznośnem. Ze szczególną pasją dokuczała pewnemu staremu nauczycielowi. Wreszcie było mu tego za wiele, położył małą na kolanie i wsypał jej parę klapsów. Kiedy książe dowiedział się o postępku nauczyciela, wystosował list do dyrektorki szkoły i zażądał pisemnego przeproszenia oraz natychmiastowego usunięcia nauczyciela. Traf chciał, że dyrektorka szkoły wyjechała na parę dni i list książęcy pozostał bez odpowiedzi. Urażony dostojnik zrezygnował więc z satysfakcji i udał się do innej szkoły, pragnąc umieścić tam córki. Ale tutaj spotkała go niemiła niespodzianka: dyrekcja oświadczyła, że gotowa jest natychmiast przyjąć starszą córkę, dla młodszej zaś, która zawiniła powyższe zajście, niestety miejsca niema. Książe „zmuszony" był przerwać edukację swej córki. Fakt powyższy świadczy o „głębokim" rozumie owego księcia. Zamiast ukarać córkę zemścił się na szkole, czyli, że ślusarz zawinił, a kowala powiesili.

Manewry floty napowietrznej. Podczas wielkich manewrów napowietrznej floty Wielkiej Brytanji, które

odbyły się w Hendon, w obecności pary królewskiej, zademonstrowano imponującą sprawność bojową angielskiej potęgi lotniczej. W oczach tłumów publiczności lotnicy angielscy wykonali cały szereg niebezpiecznych ćwiczeń oraz efektowną defiladę w powietrzu. Bardzo ciekawie przedstawiała się walka kilku eskadr oraz opuszczanie się lotników na spadochronach. Największe jednak wrażenie wywarło bombardowanie miasta przez eskadrę lotniczą. Na obszernem polu, w dużej odległości od licznie zgromadzonej publiczności zbudowano model miasta, które lotnicy angielscy obrzucili gradem bomb. W kilka minut po ataku lotniczym z miasta pozostała tylko ruina. Widok ten najrealniej uzmysłowił publiczności straszną potęgę broni powietrznej. Wspaniałe manewry w Henden, podczas których w sposób nad wyraz plastyczny i manifestacyjny okazano potężny rozwój angielskiego lotnictwa bojowego, są jeszcze jednym dowodem, jak w życiu realnem przedstawia się idea powszechnego rozbrojenia, o ktorej tyle się deklamuje z tego powodu na najrozmaitszych konferencjach międzynarodowych.

Trzęsienie ziemi w Palestynie. Znaczną część środkowej Palestyny nawiedziło w ubiegłym tygodniu silne trzęsienie ziemi, które spowodowało wielkie szkody. Śmierć poniosło przeszło 500 osób, 200 jest ciężko rannych. Na przedmieściach Jerozolimy zginęło 8 osób, w Jeryhu trzy osoby, w Jaffie i Haifie rozpadło się kilkanaście domów. Następnego dnia nad ranem powtórzyło się trzęsienie ziemi, tym razem już nietylko w okolicach Jerozolimy, lecz w całej Transjordanji. Budynek rządowy, w którym mieszka wysoki komisarz Anglik lord Plumer, został ciężko uszkodzony. Musiał on opuścić dom i spędzić resztę nocy pod gołem niebem. Grób Pana Jezusa także został poważnie uszkodzony.

Krucjata przeciw bezżennym. Parlament perski, idąc śladami niektórych krajów europejskich, uchwalił nowe prawo, mające na celu zwalczanie bezżenności, a redukujące o 10 procent pensję wszystkich urzędników państwowych, oskarżonych o wytrwałe przebywanie w kawalerskim stanie. Dekret ten ma jakoby zapobiec, częściowo chociażby wyludnieniu, a jednocześnie wzmóc, w myśl poczynionych spostrzeżeń, wydajność pracy urzędniczej.

Baletnica prezydentem miasta. Grenwich, małe miasteczko w Stanach Zjednoczonych, w oryginalny sposób rozstrzygnęło kwestję wyborów na stanowisko prezydenta. Kandydatów było trzech: wybitny historyk Joe Gould, doskonały aktor Charley Ashloy i... urocza 19 letnia baletnica miss Cortez. Zapytana na wiecu przedwyborczem o swoje stanowisko polityczne i o program gospodarki miejskiej, miss Cortez odtańczyła z takim wdziękiem nowomodny taniec, że zebrani gremjalnie oddali na nią głosy. Talent w nogach był decydującym argumentem wyborczym...

Niebywały sukces maleńkiej myszki. W amerykańskiem mieście Virginja zaszedł wypadek, który jednak zakończył się tragicznie. Do miasta przybył cyrk wędrowny, którego dyrektor kazał, celem zrobienia sobie reklamy, oprowadzać swe trzy słonie ulicami miasta. Nagle pojawiła się na jezdni zwykła mysz, która poleciała prosto w kierunku słoni. Olbrzymy przerwały szyk, w jakim je prowadzono, wyrwały się dozorcom, poczęły szaleć, bić naokoło siebie trąbami, a dwa z nich rzuciły się w panice do ucieczki. Jeden ze słoni wpadł przytem na chodnik i zadeptał na śmierć przechodnia. Straż ogniowa i policja musiały urządzić pościg za trzema królami puszczy, które uciekły przed jedną maleńką myszą.

RZECZY CIEKAWE.

Największy posąg na świecie.

Największym dotąd posągiem religijnym była statua św. Karola Boromeusza w Arona na jeziorze włoskiem Lago Maggiore. Obecnie staraniem katolików brazylijskich wzniesiono na górze Corcovado nad zatoką Rio olbrzymią statuę Chrystusa, dłuta znanego rzeźbiarza żyjącego we Francji, Polaka Landowskiego. Posąg ma 30 m. wysokości i spoczywa na podstawie wysokiej na 8 metrów. Posąg na jeziorze włoskiem ma 23 m. wysokości.

Życie człowieka.

Nie wszyscy zdają sobie dokładnie sprawę z tego. jak właściwie człowiek spędza życie. Otóż pewien statystyk angielski wyliczył, iż człowiek, który przeżył ogółem 70 lat, poświęcił ze swego życia: na sen 24 lata 9 i pół miesiąca; na pracę 11 lat 8 miesięcy; na odpoczynek tyleż; na jedzenie 5 lat 10 miesięcy; na ruch (podróże i t. p.) tyleż czasu; na mycie, ubieranie się i t. p. 2 lata 11 miesięcy.

Jeden rok i 5 i pół miesiąca czasu człowiek, który przeżył lat 70, poświęcił na każdą z poniższych pięciu czynności: gawędę, rozmyślanie, lenistwo, sprawy różne i czas stracony zupełnie.

Podając cyfry powyższe, jeden z dzienników francuskich podkreśla, że jednak ilość całkowicie straconego czasu bywa u wielu ludzi nieporównanie większa.

Strażnik grobu Juljusza Słowackiego.

Długie lata strażnikiem cmentarza na Mont-martre w Paryżu, był starzec, ongiś żołnierz francuski, okaleczony w kampanji pruskiej. Kościsty, wysoki mężczyzna o twarzy pogodnej i orlim nosie dziwnie pasował do tego lasu kamieni i marmurów cmentarnych. Monsieur Paul, pod takiem znają go nazwiskiem, posiadał wiele wyjątkowych zalet na stróża grobów. Nietylko wie, gdzie kto spoczywa, jak wygląda jego pomnik i zieleń wokół grobu, lecz interesuje się z dziwną namiętnością historją zmarłych, nad którem poruczono mu straż. Z wzruszającą dokładnością umie opowiedzieć, że staruszka, spoczywająca w tej oto mogile dwa razy wychodziła zamąż, miała pięcioro dzieci. Zna dokładnie dzieje jej synów, córek i wnuków i nie uszło jego uwagi, że najmłodszy wnuczek Charles, jest wątłem i anemicznem dzieckiem, skutkiem tego spocznie pewnie niedługo obok babki. Paweł nie lekceważy zasług oddanych mu w opiekę zmarłych. Wyolbrzymia je raczej, niż zmniejsza. Dowiedziawszy się kiedyś, że „Polska jest biednym i rozszarpanym przez wrogów krajem", z szczególną pasją objaśniał niemieckim i rosyjskim turystom historje Polaków, leżących na cmentarzu. Mieszał sobie daty i wypadki, ale w sumie wychodziło na to, iż wszyscy nieboszczycy polskiego pochodzenia byli bohaterami, gdyż bili się o swój kraj lub umarli z tęsknoty za nieszczęśliwą ojczyzną. Kto nauczył pana Pawła życiorysu Słowackiego, niewiadomo. Zna on najważniejsze daty z jego życia, tytuły dzieł i objaśnia cudzoziemców, iż są to „wspaniałe utwory", a polski poeta jest tej samej miary, co Szekspir, Dante i Wiktor Hugo. A gdy przypadkiem turyści byli Niemcami lub Rosjanami, dodawał zawsze:

— Poeta ten prorokował, że Ojczyzna jego będzie wielka i wypędzi z swych ziem Niemców, Austrja-

ków i Rosjan. Proroctwa poetów zawsze się sprawdzają.

Z powodu takich „objaśnień“ miał biedny Paul nieraz wiele nieprzyjemności.

Szybki rachmistrz.

Pewien dziennikarz wiedeński nauczył się sposobem poglądowym, sposobu jaknajszybszego rachowania. Było to w dzielnicy Mariahilff, w sklepie spożywczym. Pewna pani kupiła 11 decygramów jakiejś smacznej rybki, po 35 groszy za jeden decygram. Kupiec w tej chwili powiedział cenę: 3 szylingi, 85 groszy. Inny zażądał 16 decygramów po 13 groszy. Kupiec w tej chwili obliczył: 2 szylingi, 8 groszy.

Zapytany, objaśnił:

— Szybkiego liczenia nauczyłem się w przeciągu godziny. Nauczycielką była artystka w szybkiem liczeniu. Popisywała się w jakimś teatrzyku w Lipsku. Kazała się nazywać miss Konora. Uczyła mię tak:

— Przez 10 nic łatwiejszego; dodaje się 0 i dobrze. Ale już z 11 rzecz bardziej powikłana. Tak np. 54×11. Dwie skrajne cyfry pozostają, a więc 5 i 4; w ich środek suma 5 + 4 = 9. Czyli 594. Jeśli suma dwu cyfr środkowych jest większa niż 10, wtedy jednostkę przenosi się na setkę; a więc: 56 × 11 = 616. Zadanie z większą cyfrą jest również łatwe. Tak np. 351433 × 11. Obiedwie trójki zostawiam. A potem dodaję: 3+5 = 8 ; 5+1 = 6; 1+4 = 5; 4+4 = 8; 4+3 = 7. Rezultaty dodawania, a więc 86587 stawiam pomiędzy pozostawione dwie trójki, czyli: 3.865.873. Podobnymi środkami pomocniczymi działam przy mnożeniu liczb przez 10 do20. Dodaje się poprostu do pierwszej cyfry jednostkę drugiej i dodaje się zero. Potem sumę obydwu jednostek. Tak np. 19×18. Do 19 dodaję 8 = 27. Dodaję zero: 270. Mnożę jednostki 9×8 = 72. Dodaję 270+72 = 342. Jeszcze łatwiej jeżeli dziesiątki są równe, np. 66×64. Mnożę dziesiątki z liczbą o jedno większą, a więc 6×7 = 42. Potem mnożę jednostki 6×4 = 24 i zestawiam razem 4224. Albo: 78×72. Mnożę 7×8 = 56. Jednostki przez siebie 8×2 = 16. Zestawiam rezultaty, dostaję żądaną cyfrę 5616.

Można też sobie ułatwiać. Tak np. mam mnożyć 24×35, ale łatwiej jest 12×70 = 840. Albo 16×15. Wolę mnożyć 8×30 = 240.

Szybko liczącej artystce podano wiek pewnej obecnej na sali damy. Powiedziała, że ma 24 lata. Napewno miała więcej, ale o to, w danym razie, nie chodzi. Więc ile przeżyła miesięcy? To łatwo 24×12 = 288. Gorzej już trochę z tygodniami. Więc przepołowić trzeba liczbę lat; będzie 12. Podwoić liczbę tygodni w roku — 104×12 = 1248. Jeśli 36 lat, wtedy 1872 tygodni. Jeśli 44, wtedy 2288 i t. d. Nieco bardziej zawikłane, jeśli ma się podać godziny, minuty, a zwłaszcza sekundy. Wtedy, objaśniła artystka, z szybkim liczeniem, radzić sobie trzeba tak. Spamiętałam, że liczba sekund w 2 latach = 63.072.000. Wtedy mnożę połowę lat wieku przez 63, potem przez 72 i dopisuję 3 zera. Np.: 24 lata (12×63 = 756) i (12×72 = 864. Piszę obok siebie rezultaty: 756.864.000 sekund.

Wszystko to jest bardzo piękne i napozór łatwe. Ale zarówno do szybkiego liczenia, jak do różnych sztuczek pomocniczych, trzeba mieć najpierw: wrodzony zmysł, a potem ciągłą wprawę.



Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Wł. Szewczuk z J.).

☆ ☆ ■ ☆ Stworzenie wodne.
☆ ■ ☆ ☆ Część człowieka.
■ ☆ ☆ ☆ Miasto w Holandji.
☆ ■ ☆ ☆ Rzeka w Niemczech.
☆ ☆ ■ ☆ Ruchomy sklep.
☆ ☆ ☆ ■ Tłuszcz wielorybi.
☆ ☆ ■ ☆ Górski przewodnik pasterzy.
☆ ■ ☆ ☆ Część twarzy wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ Kres.
☆ ■ ☆ ☆ Składnik granitu.
☆ ☆ ■ ☆ Potrzebny introligatorowi.
☆ ☆ ☆ ■ Kamień szlachetny.
☆ ☆ ■ ☆ Ciężar.
☆ ■ ☆ ☆ Miara długości.
■ ☆ ☆ ☆ Metal.
☆ ■ ☆ ☆ Ryba.
☆ ☆ ■ ☆ Ciężar wspak.

W miejsce ciemnych kwadratów wstawić tak litery, aby dały imię i nazwisko osoby z „Ogniem i mieczem“.

2. Szarady.

(Ułożył W. Ptasiński z B.).

I.

Pierwsze drugie Włoch wam powie gdy [będzie miał mało,
Drugie, trzecie w wielkiej biedzie
Św. Genowefie pożywienie dało,
Drugie wstecz i pierwsze to praca nie lada,
Każdemu na wojnie zrobić to wypada,
Pierwsze, trzecie znajdziesz bez zachodu
Przy częściach w podziale roku.
Całość, wrodzoną niektórzy mają
Inni niebiosa tem przebijają.

II.

Pierwsze samogłoska trzecia w nutach bywa
Drugą, trzecią gracz w kręgle i żebrak u- [żywa,
Druga, czwarta źródło dochodu wiejskiej [gospodyni,
Na drobne zakupy dla swej rodziny.
Całość ujrzysz bez zachodu
U kierowcy samochodu.

III.

(Ułożył Antoni Frączek z P.).

Pierwsza trzecia mleka potrzebuje,
Druga czwarta to zdrowie rujnuje,
Drugą pierwszą zobaczy we wodzie
A niektóry człowiek nosi także w sobie,
Druga trzecia ruska, w Małopolsce leży,
Pierwsza druga zbójom się należy,
Pierwsze, drugie, trzecie, pół czwartego [dzielę,
Stoi, i czeka blisko przy kościele,
A w całości to różności, i w niej ludzi wiele
Jak w czasie pogrzebu albo we wesele.

3. Przestawianka.

(Ułożył Andrzej Rembiński z K.).

nie, cię, kie, ci, łę, a, chwi, mo, jest, la, la, sy, cię, kie, co, oj, jest, chwi. pią, le. rzu, żka, gi, żka, ta, dy, ta, dy, ci, te casz, mi.

Z powyższych zgłosek ułożyć znany wiersz Konopnickiej.

4. Bilety wizytowe.

(Ułożył Antoni Marchlik z K.).

I.

Stara Anna Obis.

II.

Flis Walek Koczyk.

III.

Jamnik Atys.

Z powyższych wyrazów ułożyć trzy znane imiona i nazwiska.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 31 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 26 „Roli": 1. Logogryf: Londyn. 2. Logogryf: Osaka Judea. 3. Szarady: Topola, karabela, berlinka. 4. Przestawianki: Trafiła kosa na kamień. Czas to pieniądz.

Dobrego rozwiązania **wszystkich** zagadek z Nru 26 „Roli" w dalszym ciągu nikt nie nadesłał. Pozostaje więc do rozwiązania druga przestawianka. Może ktoś się znajdzie, a odgadnie ją. Częściowe rozwiązanie nadesłali pp.: Florjan Ciebiera z Rz., Rudolf Szostek z P., Władysława Oprychówna z K., Józef Gasiński z B., Jan Patulski z S. i Feliks Popielarczyk z W. D.

Znaczenie zagadek z Nru 28 „Roli": 1. Logogryf: Karol Libelt - Piotr Skarga. 2. Szarady: Cerata, koperty. 3. Zagadki: Ski - iks, port - trop, Karola. 4. Układanki: Artur.Ob-rok. Zło-to. Pas-ta. Karo-lina.

Dobre rozwiązanie w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Tadusz Biernacik z N. S., Kasper Święcicki z D., M. Rutkowski z T., Piotr Adamczak z G., Jan Patulski z S., Rudolf Kulla z K. M., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Józef Kajzer z W. G., Tomasz Wilczak z L. M., Józef Kostecki z P., Jan Czelusniak z W., Władysława Oprychówna z K„ Józef Gasiński z B., Rudolf Szostek z P., Feliks Popielarczyk z W. D.

Nagrody wylosowali pp.: Kasper Święcicki z Drużkowa i Tomasz Wilczak z Libiąża Małego.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Rudolf Szostek** w P., **Jan Patulski** w S., **Florjan Ciebiera** w Rz., **Andrzej Węgliński** w B., **Stanisław Zieliński, Piotr Adamczyk** w G., **Tadeusz Biernacik:** Zagadki otrzymaliśmy, pójdą w miarę wolnego miejsca. — **Władysława Oprychówna** w K.: Zagadki dobre, wierszyk natomiast jeszcze słaby. — **Walek Kowalczyk** w S.: Owszem, wierszyki są dobre, ale mamy moc wierszy, że nie możemy oznaczyć nigdy czasu, kiedy który będzie drukowany. Na kredyt trudno nam gazetkę posyłać, gdyż my musimy za wszystko z góry płacić, a składanych pieniędzy nie mamy. — **Kasper Święcicki** w D.: Uwagi Pańskie są słuszne; zdarza się to czasem wskutek zbytniego pośpiechu i wielkiego nawału pracy. — **Juljan Kwolek** w R.: Maciek za wierszyk dziękuje; będzie się trzymał w życiu zawartych w nim wskazówek. — **Józef Serafin** w M.: Z nadesłanych utworów skorzystamy. — **A. Lonczak** w K.: Z łaskawie nadesłanego nam artykułu skorzystamy. I my sądzimy, że będzie on bardzo pożyteczny dla naszych Czytelników.

Okładki na „Rolę" są gotowe i wszystkim, którzy nadeślą 2 zł. zaraz wyślemy. Okładki są bardzo ładne, z wybitym rokiem złoconym 1926/**1927** jak również ze złoconymi ornamentacjami.



Giełda płodów rolniczych

z dnia 19 lipca b. r.

Pszenica	57·00—58·00	Słoma długa	6 00—6 50
Żyto	00·00—00 00	Ziemniaki stoł.	00·00—00·00
Owies	42 00—43 00	Koniczyna na-sienn. czer.	00·00—00 00
Jęczmień	00·00—00·00		
Fasola biała	00·00 - 00 00	Mąka żytnia	76·00—77·00
Łubin żółty	00 00—00 00	Otręby żytnie	29·00—30·00
Koniczyna	12·00—13·00	Pęcak zwycz.	65·00—66·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.